43RIDE

magazyn rowerowy

(11) czerwiec 2010

NR. ISSN: 1899-766X

Dostępny bezpłatnie na stronie www.43RIDE.com

Zdjęcie: ***Igor Kępiński*** *Rider:* ***Tomasz Profic***

Zdjęcie na okładce:
Zdjęcie: ***Michał Niewdana***
Rider: ***Krzysztof „Generał" Kuś***

Zawartość 43RIDE

3 ***Wstęp***
4 ***Fotoklatka***

Ludzie, wywiady
9 ***Young Guns - Mateusz Sochacz***
13 ***35+ - Patryk Persich***
20 ***Fotograf - Jakub Kocjan***
24 ***Sam Pilgrim***

Relacje
28 ***Vienna Air King***
33 ***Majówkowe wycieczkowanie***
43 ***Skafunder Massive Jam***
50 ***Puchar Świata DH - Maribor***
Puchar Polski DH:
53 ***- Wisła Stożek***
55 ***- Czarna Góra***
58 ***- Czarna Góra inaczej...***
63 ***- Międzybrodzie Żar***
67 ***Enduro Trophy - Bielsko Biała***
70 ***Castorama DH Szczyrk - fotorelacja***
74 ***Szczysler, Szczeribor, czyli Szczyrk***
77 ***Joy the ride, share your joy***
81 ***Puchar Warmii i Mazur w Kieźlinach***
85 ***Flow Challenge Warszewo***

PROradnik
89 ***O kibicach słów kilka...***

43RIDE testuje
91 ***KRK - kask, łokcie, kostki***
95 ***Klocki UNEX - część druga***
96 ***Answer - część druga***
98 ***Kaski MET - część druga***
103 ***Old Stuff: Girvin Vector 3 '1996***

106 ***Koniec***

Zdjęcie: ***Rafał Bzdak***
Na zdjęciu: ***Bartek, Tomek & Maciek***

Czas wakacyjny, czas urlopu, weekendy, to świetna pora na realizacje rowerowych wypraw. Oczywiście nie zapomnijcie w tej beztrosce o swoim zdrowiu i chrońcie się jak tylko możecie, zarówno przed słońcem jak i upadkiem. A gdy znajdziecie chwilę wolnego czasu, to weźcie 43RIDE i najnowszy numer!

W jedenastej odsłonie znajdziecie super zdjęcia w fotoklatce, weekendowe wojaże, relacje z zawodów DH, niejednokrotnie kilka sposobów patrzenia na te same imprezy. Rozmowy, to jest to co lubimy robić najbardziej, a udało Nam się porozmawiać z takimi ludźmi jak Sam Pilgrim, Mateusz Sochacz, Jakub Kocjan czy Patryk Persich (wracaj do zdrowia!). Nie mogło zabraknąć też PROradnika od Kingi, a całość domykają testy z jedynym w swoim rodzaju działem Old Stuff. Aby nie przedłużać, życzę miłej lektury oraz NIE połamania kości podczas zabawy na rowerze!

Zbyszek Nowicki - 43RIDE

Dziękujemy wszystkim za możliwość wykorzystania ich słów i obrazów! To dzięki Wam mogliśmy stworzyć ten numer 43RIDE. Pamiętaj, TY również możesz pokazać coś innym! Jeżeli chcesz podzielić się ciekawymi materiałami, skontaktuj się z nami! Czekamy na materiały do końca sierpnia 2010. Następny numer 43RIDE ukaże się pod koniec września 2010.

zdjęcie: ***Michał Niewdana***
rider: ***Krzysztof „Generał" Kuś***

zdjęcie: ***Michał Chodkowski***
rider: ***Mateusz Sochacz***
Wisła, Stożek

zdjęcie: ***Marcin Wróbel***
rider: ***Filip Kołodziej***
Suszec, dirty u Szamanków

zdjęcie: ***Mateusz Woliński***
rider: ***Adam „Ufik" Budzynowski***
Gliwice

zdjęcie: ***Piotr Staroń***
rider: ***Amadeusz Bać***
II Memoriał im. Marka Dunata

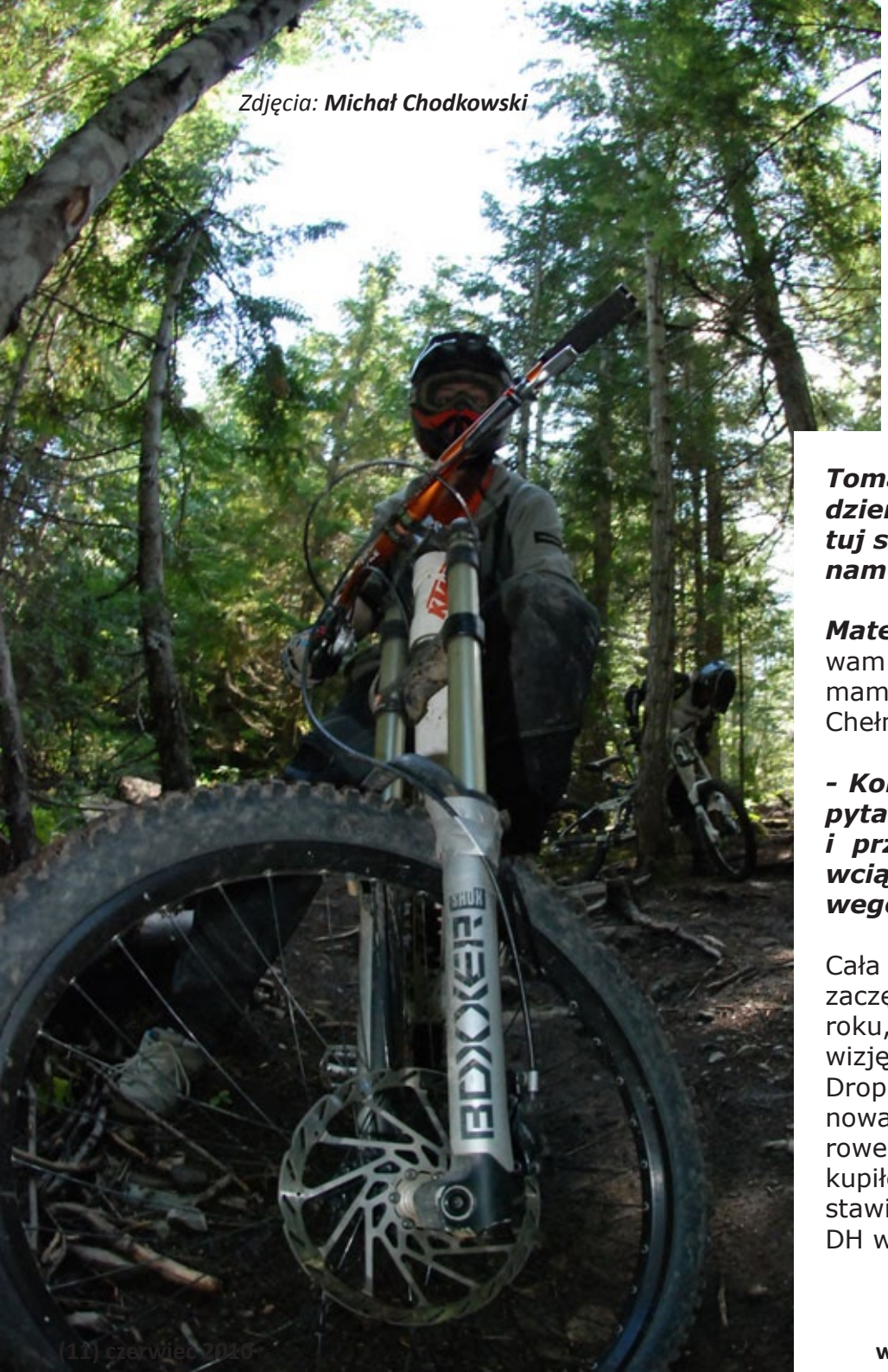

Zdjęcia: **Michał Chodkowski**

YOUNG GUNS

Mateusz Sochacz

Rozmawiał: **Tomasz Profic**
Zdjęcia: **Kuba Obuch, Michał Chodkowski - gravitycamp.pl**

Tomasz Profic: Na dzień dobry zaprezentuj się ładnie i powiedz nam coś o sobie...

Mateusz Sochacz: Nazywam się Mateusz Sochacz, mam 16 lat i mieszkam w Chełmie.

- Kolejne standardowe pytanie – kiedy, gdzie i przez kogo zostałeś wciągnięty do rowerowego światka DH?

Cała moja przygoda z DH zaczęła się wiosną 2007 roku, gdy oglądając telewizję trafiłem na program Drop In. Byłem zafascynowany tym programem i rowerami. Miesiąc później kupiłem rower i zacząłem stawiać pierwsze kroki w DH w pobliskim lasku.

- Nie każdy w tak młodym wieku może pochwalić się, że jeździł po trasach w Whistler. Jak Ci się podobało w Kanadzie?

Tras nie będę opisywał, bo chyba każdy wie co i jak... A tak poza tym, to Kanada jest ciekawym krajem. Zobaczyliśmy wiele nowych rzeczy oraz pięknych górskich widoczków z niedźwiedziem w tle :D

- Podobno strasznie narzekałeś na kanadyjskie jedzenie? ;)

Podobno? Skąd takie informacje? Jedzenie było bardzo dobre, lecz straszna monotonność panowała w naszej kuchni. Przez miesiąc obiady różniły się jedynie ilością marchewki i rodzajem makaronu.

Zdjęcie: ***Michał Chodkowski***

Zdjęcie: ***Michał Chodkowski***

- Wróćmy może do kraju... Gdzie jeździsz na co dzień?

Na co dzień jeżdżę w pobliskim lasku, mam tam kilka ciekawych tras i często wpadam tam potrenować.

- W jaki sposób przygotowywałeś się do sezonu 2010? Pamiętaj, że marchewki od Schodka traktowane są jako niedozwolony doping ;)

Od powrotu z Whistler ani razu nie jadłem marchewki ;) Jakoś specjalnie nie przygotowuję się do sezonu, trenuję na crossie, bardzo dużo pływam i 2-3 razy w tygodniu jeżdżę na rowerze XC.

- Jak podchodzisz do startów w zawodach? Dobry wynik przede wszystkim czy po prostu stoczyć się na dół z przyzwoitym czasem?

Na razie bez spiny stoczyć się na dół z przyzwoitym czasem. W tym sezonie chcę bardzo dużo pojeździć w górach i po zawodach, może jakiegoś tripa po Europie. Ogólnie czysta zabawa z domieszką ścigania.

- Wiążesz z tym sportem jakieś większe nadzieje czy traktujesz to jako dobrą zabawę?

Bardziej traktuję to jako dobrą zabawę, bo podczas wyjazdów rowerowych można zwiedzić trochę świata , a jeśli chodzi o zawody, to chciałbym gdzieś wskoczyć na podium.

- Dzięki za rozmowę!

Zdjęcia: **Kuba Obuch**

35+ Patryk Persich

Rozmawiał: ***Zbyszek Nowicki***
Zdjęcia: ***Żona Patryka ;)***

„Szkoda życia na kanapę i TV, na rower wszyscy!!”

35 lat to granica wiekowa, wg. której uznałem, że zacznę poszukiwania osób, które jeżdżą na rowerze DH/FR. Jak się później okazało, nie jest to trudne i muszę was zaskoczyć, to nie jest sport uprawiany tylko przez młodzież w wieku szkolnym czy studenckim – tym sportem bawią się naprawdę dorośli i „poważni” panowie/panie.

Na pierwszy ogień 35+ poszedł jeden z moich kolegów. Zakręcony z duszą młodego wojownika, szef agencji reklamowej Patryk Persich !

Zbyszek Nowicki: Patryku dołączyłeś do prestiżowego grona 35+ ;) czy czujesz ten wiek na karku?

Patryk Persich: Coraz częściej odczuwam, że 16 lat miałem ponad 16 lat temu, hahahaha. Z jednej strony wewnątrz wciąż czuję młodość, nie spieszno mi do bycia poważnym panem Patrykiem, ale z drugiej strony ciało ma już za sobą kilka wiosen i pare blizn. Coraz ciężej dojść do siebie po kontuzjach, treningi nie są już tak łatwe jak kiedyś, no i jednak stres dnia codziennego odbija się na wydolności i możliwościach sportowych.

- Jak zaraziłeś się kolarstwem zjazdowym?

Pamiętam jak dawno dawno temu dostałem od mojej rodziny z Niemiec taki rower MTB z Tesco, pojechałem od razu pociągiem w góry i dotarłem szlakiem na Stożek. Podczas zjeżdżania tym samym szlakiem złożyłem dwa koła w ósemki, a tylny trójkąt odpadł całkowicie od reszty ramy :-) Myślę, że wtedy się zaraziłem kolarstwem grawitacyjnym, haha. Oczywiście później był rower XC, ale jakoś nigdy się w niego nie wkręciłem za bardzo. Kolejnym etapem był rower dirtowy. Kopaliśmy z chłopakami wielkie hopy na naszych śląskich hałdach i w wolnym czasie skakaliśmy ile się dało. Pewnego razu pojechałem z takim strasznie tandetnym rowerem dirtowym (nie miałem w tamtym czasie kasy na sprzęt) do Szczyrku na Skrzyczne i to było to! Co prawda, rower się rozleciał, ale ja wiedziałem, że ten sport pochłonie mnie bez reszty. No i zaczęło się zbieranie kasy na pierwszą Konę Stinky, poznałem chłopaków ze Szczyrku (których serdecznie pozdrawiam) i krok po kroku wkręcałem się w temat downhillu. Dziś nie wyobrażam sobie życia bez tego.

- Myślisz, że z wiekiem naturalnym jest przejście z XC/AM do DH/FR? (w moim przypadku też tak było, mnie już nie chciało się podjeżdżać) ?

Hm, myślę, że to zależy od konstrukcji psychicznej, ale jak jedziesz w góry na XC głównie po to żeby śmigać w dół, to wiadomo jak to się skończy. Z drugiej strony mam wielu znajomych, którzy do dziś jeżdżą XC, trenują pod tym kątem, startują w zawodach i mimo to nawet nie myślą o FR/DH. Dla mnie XC było zbyt nudne, brakowało adrenaliny i tego poczucia „wyjątkowości" dyscypliny sportowej, którą uprawiasz.

- A może downhill to sposób na drugą młodość?

Oczywiście coś w tym jest! Przebywasz w towarzystwie młodszych chłopaków (i dziewczyn!) i naturalne jest to, że dzięki temu sam czujesz się młodziej. Powiem Ci szczerze, że mimo czasami dużej różnicy wiekowej, świetnie się dogaduję z całą ekipą z tego światka i bardzo lubię całe to towarzystwo. Na myśl o tym, że w weekendy miałbym siedzieć z takim typowym 35-latkiem i cały czas poświęcać na gadki o pracy, dzieciach, kryzysie finansowym... fuck, słabo mi się robi!! Dochodzi oczywiście poczucie tego, że bądź co bądź jest to sport hardcorowy i gdzieś tam czuje się naprawdę młodo i wyjątkowo po kolejnych zawodach, na których pokonałem swoje kolejne demony strachu, a moi koledzy rówieśnicy... hm... odpalili nowego grilla i był czad, jeden się oparzył, a drugi wypił 10 browarów ;)

- Co czujesz jak stoisz przed wyciągiem i widzisz tych młodych „gibkich" riderów?

Ja wam jeszcze k...a pokażę jak się jeździ! A na serio, czuję wielką radość, naprawdę. To świetne, że Ci ludzie tak mocno się angażują w to co robią, wkładają w to całych siebie, przeżywają ten sport całym sobą, układają sobie życie pod to wszystko. Widzę, że rodzą się pomiędzy riderami prawdziwe przyjaźnie, to naprawdę wspaniała rzecz i jak patrzę na tych ludzi przed wyciągiem, to po pierwsze właśnie to czuję. Patrząc jak śmigają bez strachu i z totalną lekkością po trudnych trasach, to czasami troszkę mi przykro, że nie mam 16 lat i nie wziąłem się za ten sport wcześniej, ale głównie cieszę się ich poziomem i umiejętnościami. Fajnie jak ludzie mają błysk w oczach i dążą do postawionych sobie celów!

- Zawodowo szefujesz dużej agencji Dream Up, jak udaje się Ci pogodzić jazdę rowerową z pracą?

Oczywiście większość osób w firmie też śmiga na rowerach z tym, że chłopaki zarazili się ostrym kołem i wyczyniają niesamowite rzeczy na tych rowerach (pozdro dla nich). No to jest chyba najsłabszy punkt bycia „dorosłym". Prowadzenie udanego życia zawodowego w Polsce nie jest łatwe, trzeba bardzo dużo energii i własnego siebie włożyć w to, żeby ten cały biznes jakoś prosperował. Pamiętam jak rozkręcałem firmę i kończyłem pracę nie wcześniej niż o 20, nawet o 21, ledwo żyłem i nie miałem siły żeby ręką ruszyć, a co dopiero trenować. Nie zdawałem sobie sprawy z tego jak mocno stres może wpływać na takie rzeczy jak np. wydolność fizyczna, ciągłe nerwy, zarwane noce robią swoje. No ale... po jakimś czasie udało mi się znaleźć złoty środek i wieczory rezerwuję na czas poświęcony Magdzie oraz treningi. Oczywiście zawsze muszę wozić ze sobą komputery, telefony i często udaję przed klientami, że oczywiście siedzę w biurze i pracuję nad ich kampaniami odpisując szybkie maile pod wyciągiem. W tym przypadku wyznaję zasadę, że póki jeszcze stoję na nogach to jest OK!

- Nasz magazyn jest o rowerach, ale muszę zapytać, zanim zacząłeś startować w DH uprawiałeś inne sporty?

W zasadzie od dziecka uprawiałem różne sporty i od dziecka rywalizowałem w różnych turniejach czy zawodach. Mając 8 lat zacząłem grać w tenisa bardzo intensywnie, w wieku lat 15 jeździłem w sumie non-stop na turnieje i mecze podróżując po Europie Wschodniej za pieniądze klubu. Przestałem grać w wieku 19 lat, kiedy doszedłem do wniosku, że imprezy i dziewczyny są ciekawsze niż przebijanie piłki. Od dziecka śmigam również na nartach, tutaj również klub i zawody, uwielbiam freeridowe szaleństwo poza trasami na świeżym puchu! Po drodze był jeszcze windsurfing i deskorolka, zrobiłem kiedyś kickflipa z 12 schodów i wylądowałem deską na przedniej nodze... do dziś po zawodach mam problemy z kostką.

- Narciarstwo, czy jest jakiś wspólny mianownik z DH?

Hm... myślę, że można znaleźć kilka punktów. Płynna praca całego ciała jest kluczem do sukcesu. Zaufanie do tego, że krawędź czy opona utrzymają Cię na stoku robi swoje. Narty mam niemal wyssane z mlekiem matki i wiem, że zawsze mnie utrzymają na stoku, że krawędź będzie robić swoje i będzie trzymać. Brakuje mi tego zaufania na rowerze, zamiast jechać dalej kładąc rower, wciskam klamkę, bo mam wrażenie, że koła zaraz ujadą. W jednym i w drugim przypadku potrzebny jest dobry refleks i dobre warunki psychomotoryczne. Mocne nogi pomogą na stoku i trasie rowerowej.

- Downhill kojarzy się ludziom postronnym z niebezpieczeństwem, szaleństwem, a przecież jeżdżący na nartach w tłumie na stoku więcej ryzykują niż my na rowerach – co o tym sądzisz?

Mimo wszystko mam wrażenie, że jednak my więcej ryzykujemy. Być może wynika to z tego, że narty są dla mnie tak proste, a rower wciąż sprawia wiele trudności. Poza tym osoba, która nigdy nie jeździła na nartach, wchodząc na stok daleko nie zajedzie, średnio po 5 metrach leży, a widziałem paru „odważnych", którzy puszczali się na rowerze z góry nie mając pojęcia co i jak - dwóch pomagałem odwieźć do szpitala... Jest jeszcze kwestia tego jak się jeździ na rowerze i na jakich trasach. Na zachodzie jest mnóstwo bardzo lajtowych single tracków, na które przyjeżdżają całe rodziny i bezpiecznie bawią się w zjeżdżanie. Patrząc na riderów podczas zawodów powinniśmy pamiętać, że w sumie to najlepsi specjaliści tej dyscypliny w Polsce, znają się na rzeczy i potrafią szybko i bezpiecznie śmigać po trasach. To wszystko zależy od tego kogo ze sobą porównamy i tu i tu są spece i ludzie, którzy się uczą, którzy są bardziej podatni na wypadki. Dodam jeszcze tylko, że na nartach nigdy nie miałem poważnej kontuzji, a na rowerze... szkoda gadać. Gdy pada deszcz, to bark boli jak cholera ;)

- Żona... a co na to żona?

Haha... i co mam Ci teraz powiedzieć? Wiadomo, że żona dorwie magazyn i będzie czytać, żona! Pozdrawiam małżonkę ;) ...a tak serio, na początku było dużo tarć, każdy weekend znikam na rower, a wiadomo, że o żony należy dbać i poświęcać im wiele uwagi, a tu się „kochanka" pojawiła i to w tym samym domu! Mieliśmy z tego powodu trochę spinek i awantur. Po czasie Magda zauważyła jak wiele radości sprawia mi rower i postanowiła zmienić taktykę, sama spróbowała o co w tym wszystkim chodzi i złapała bakcyla! To było najlepsze rozwiązanie z możliwych (oczywiście z mojego egoistycznego punktu widzenia), zaczęliśmy spędzać razem czas na rowerze. W tej chwili objeździliśmy wspólnie wiele bike parków, Magda ma za sobą takie trasy jak pucharówka w Mariborze czy Schladming, na których całkiem dobrze sobie radzi :) Jeździ ze mną na zawody i wiernie kibicuje, co pewien czas pocieszając mnie sformułowaniami typu „misio w tym miejscu pojechałeś jak straszna ciota, stać Cię na więcej, nie wymiękaj!". Mogę więc powiedzieć, że nasza rodzina żyje w harmonii z rowerami i nie wynikają z tego powodu problemy.

- Podobnie jak do sezonu narciarskiego należy przygotować się do sezonu, czy do rowerowego też jakoś specjalnie się przygotowujesz?

Staram się przygotować najlepiej jak tylko się da. Zimą chodzę regularnie na siłownię, sporo czasu siedzę na trenażerze i raz w tygodniu jestem na basenie. Wczesną wiosną staram się jak najwięcej śmigać na szosie nabijając kilometry i robiąc interwały. Tej zimy niestety dorwało mnie choróbsko, które nie chciało odpuścić ponad dwa miesiące i troszkę kondycji poszło w dym, ale nadrabiam!

- Muszę o to zapytać, którego z zawodników w PL i za granicą, styl jazdy Ci się podoba – taki powiedzmy wzór wg. Ciebie do naśladowania.

Oczywiście mam swoich idoli jak każdy 18-sto... tfu... 35-latek. W Polsce jest nim Michał Śliwa za swój bezszelestny „Ninja Style". Uwielbiam jego bezwysiłkową, cichą jazdę, patrząc na niego to się wydaje takie proste. Lubię też bardzo styl Jody, „KungFu Tiger Style" pełen energii i mocy. Naprawdę pięknie to chłopcy opanowali. Z riderów zagranicznych oczywiście Peaty za to, że łoi wciąż dupę młodzieży, a za styl chyba najbardziej Sam Blenkinsop, za jego luz i swobodę podczas jazdy.

- Twoje ulubione miejsce do jazdy na rowerze w PL i za granicą?

W Polsce jeżeli chodzi o trasę to Stożek - ma wszystko co trzeba, są korzenie, ciasne zakręty, trawers, no i panowie z wyciągu są bardzo dobrze nastawieni do rowerzystów. Lubię również Szczyrk za klimat, mam sentyment do tego miejsca, mam nadzieję, że kiedyś powstanie tam polskie Whistler. Za granicą to chyba Maribor, wymagająca pucharówka i pełno dzikich tras dbają o to, żebyś się nie nudził. Kranska Gora jest również miejscem, do którego mógłbym się przeprowadzić bez chwili wahania, piękne miejsce ze świetnymi trasami i kryształowym jeziorem u podnóża pięknych gór!

- Czego brakuje w naszej ojczyźnie do uprawiania DH/FR?

Przede wszystkim to pozytywnego nastawienia „wyciągu" do rowerzystów. Myślę, że jest to nie fair jak zostawiamy gdzieś nasze ciężko zapracowane pieniądze, a ludzie traktują Cię z buta, to nie jest przyjemne. Dbania o trasy, o to, żeby faktycznie się jakoś rozwijały, żeby ludzie którzy chcą zacząć przygodę z tym sportem mieli szanse znalezienia odpowiednich warunków dla siebie. Poza tym nie lubię jakoś marudzić, że u nas jest do dupy, a za granicą jest fajnie. Jak chcesz pojeździć to jest gdzie Wisła, Szczyrk, Żar, Czarna Góra, Wierchomla w każdym z tych miejsc znajdziesz trasę od bardzo łatwych na Wierchomli, po bardzo trudne na Czarnej Górze. Oczywiście fajnie by było mieć Whistler na Skrzycznym :)

- Co najbardziej irytuje Cię na trasach, w bike parkach czy u ludzi?

Wiesz co, strasznie nie lubię takiego prymitywnego chamstwa u niektórych riderów. Jak chcesz być prawdziwym pro, to musisz co drugie słowo przeplatać k...a albo ch...j. Musisz z wyciągu zrzucać puszki po piwie, albo red bullu, a na ludzi krzyczeć z daleka sp...ć. To psuje wizerunek tego sportu, ludzie później przez takich „prosów" mają spaczony pogląd na temat nas wszystkich. Naprawdę tego nie rozumiem. W bike parkach wkurzają mnie nie przewidziane przerwy techniczne trwające 3dni. Trafiłem raz na taką w Jasnej, co godzinę, za godzinę miał już działać wyciąg i tak przez 3 dni. Z kolei na trasach podnoszą mi troszkę ciśnienie ludzie, którzy włączają się do ruchu nie patrząc czy ktoś leci z góry. Kilka razy szorowałem ostro w krzakach wybierając tą drogę zamiast plecy nieprzytomnego człowieka.

- Wiem, że fascynujesz się buddyzmem. Czy ma on wpływ na sposób podejścia do jazdy na rowerze?

Zgadza się, myślę że buddyzm i jazda na rowerze mają parę wspólnych mianowników. To co fascynuje mnie najbardziej, to takie całkowite spoczywanie w danej chwili bez myślenia o przyszłości czy przeszłości. Pędząc na rowerze jesteś w 100% w „tu" i w „teraz". To bardzo wyzwalające uczucie, myślę że właśnie między innymi za to, tak bardzo kochamy ten sport. Wielcy Mistrzowie mówią, że nieustraszoność jest wielką właściwością, staram się o tym pamiętać za każdym razem jak mam pełne gacie widząc jeszcze większą hopę. Poza tym fascynuje mnie praca z naszymi emocjami. Buddyzm jako nauka przekazująca konkretne metody do pracy z nimi ułatwia trochę walkę ze stresem czy strachem. Wiecie, że kiedyś w stanach podpięli do komputerów mózgi mnichów zen podczas medytacji oraz mózg jednego ridera w trakcie śmigania na rowerze? Mieli bardzo zbliżone wyniki pod względem fal jakie produkowały ich mózgi. Myślę też, że zawodnicy, którzy mówią o tzw. flow, czyli o przepływie którego doświadczają podczas śmigania mieli by coś do powiedzenia w tej materii :)

„Szkoda życia na kanapę i TV, na rower wszyscy!!”

- Zjazd rowerowy to duży wysiłek dla organizmu, to dostawa adrenaliny do krwiobiegu – czy pomaga to w życiu codziennym?

Szczerze mówiąc, myślę że w naszym wieku może powodować więcej złego (adrenalina) niż dobrego. Tak przynajmniej twierdzą lekarze. Zbyt dużo adrenaliny niszczy serce, osłabia układ nerwowy, ale kto by się przejmował? Oczywiście z mojego punktu widzenia fajnie jest odczuwać „power” i być pełnym mocy, każdy z nas poznał uczucie kopa adrenalinowego i miło by było utrzymywać taki stan na co dzień, haha. Jasne jest też, że poprzez sport uczymy się wytrwałości, łatwiej nam dążyć do założonych celów, mniej boli porażka, na pewno na co dzień jesteśmy twardsi. Wysiłek sportowy wyostrza również zmysły dzięki czemu być może jesteśmy w stanie odbierać większą ilość bodźców z przestrzeni czy być ich bardziej świadomych.

- Czyli..., na koniec możemy wspólnie zachęcić do jazdy rowerem po górach (DH/FR) tych początkujących 35+ jak i życzyć wytrwałości młodym aby dotrwali do tak zacnego okresu w życiu jakim jest 35+ ;)

Jak najbardziej tak. Właśnie wróciłem przed chwilką z Żaru, był ze mną kolega w moim wieku, który pierwszy raz zakosztował jazdy i to od razu w błocie po kolana i strugach deszczu, był przeszczęśliwy! Szkoda życia na kanapę i TV, na rower wszyscy!!

FOTOGRAF JAKUB KOCJAN

Tekst/Zdjęcia: ***Jakub Kocjan*** *- krissys.pinkbike.com*

Witam, nazywam się Jakub Kocjan, mam 16 lat i mieszkam w nędznym mieście zwanym Oświęcim. Aktualnie kończę trzecią klasę gimnazjum, o dziwo test matematyczno-przyrodniczy z zakresu wiadomości obejmujących RADIOAKTYWNE BIEDRONKI poszedł mi dobrze. :)

Dwa lata temu zainspirowany PODami na Pinkbike zakupiłem Canona 450D, którego najczęściej używam ze stałką f/1.8. Oprócz pstrykania zdjęć śmigam na rowerze (obecnie DeVinci), staram się podnieść technikę i wybrać na jakieś zawody. Ponadto w zimie jeżdżę na nartach.

W przyszłym roku mam zamiar nakręcić film rowerowy obejmujący zawody, tajne spoty itp. W ramach sprostowania Oświęcim jest nędzny tylko dlatego, że nie ma żadnego wzniesienia i trudno zbudować ciekawą trasę ;)

Kończąc, pozdrawiam czytających oraz zapraszam do obejrzenia mojego profilu na pinku:

krissys.pinkbike.com

Zdjęcie: **Szymon Nieborak**

Sam Pilgrim

„Najlepsze momenty są wtedy, gdy wygrywam zawody!”

Rozmawiał: **Tomasz Profic**
Zdjęcia: **Szymon Nieborak** - delayedpleasure.com

- Na początek, czy mógłbyś krótko się przedstawić?

Nazywam się Sam Pilgrim, a w momencie gdy będziecie to czytać, będę miał 20 lat... i pochodzę z Anglii.

- Standardowe pytanko: kto i kiedy wciągnął Cię w jazdę na rowerze mtb/bmx?

Zacząłem moją przygodę z rowerem od MTB i tak naprawdę nigdy na serio nie zainteresowałem się małymi kółkami. Gdy miałem 9 lat zobaczyłem magazyn rowerowy z trikami i wtedy zajarałem się tym na maksa!

Zdjęcia: **Szymon Nieborak**

- W ciągu ostatnich kilku lat wygrałeś mnóstwo zawodów, ale które były dla Ciebie najważniejsze?

Myślę, że najważniejsza była wygrana w zawodach Nissan Qashqai, które odbyły się w Londynie. W końcu wygrałem u siebie!

- Twoje najlepsze i najgorsze momenty w karierze?

Najlepsze momenty są wtedy, gdy wygrywam zawody i po prostu, gdy mogę jeździć na rowerze każdego dnia. Najgorsze? Gdy zaliczę glebę :)

- Kto inspiruje Cię do jazdy?

Travis Pastrana!

- Jakie jest Twoje ulubione miejsce do jazdy? Wolisz jeździć sam czy z przyjaciółmi?

Ostatnio byłem w bike parku w Winterbergu i w tym roku było to chyba najlepsze miejsce w jakim miałem okazję jeździć. No i oczywiście najlepsza jazda jest wspólnie ze znajomymi.

Zdjęcie: **Szymon Nieborak**

- Po zawodach Vienna Air King usłyszałem ciekawe zdanie: „widziałem mnóstwo grubych trików, ale niektóre po prostu wyglądały brzydko". Skomentujesz to?

Hm, może po prostu gość, który to powiedział był zazdrosny o to, że nie umie zrobić takich rzeczy, haha... Uwielbiam patrzeć na grube triki, zresztą widownia też, więc jeśli są one dobrze wylądowane, to wszystko jest ok.

- Sezon 2010 zaczął się dla Ciebie bardzo dobrze, wygrałeś zawody Nissan White Style czy Vienna Air King, ale jakie masz plany na resztę sezonu?

Chciałbym pojechać na Crankworx do Whistler i mam nadzieję, że dobrze mi tam pójdzie. No i chciałbym spróbować swych sił na Rampage'u, myślę że mogę tam umrzeć, ale impreza wygląda interesująco ;)

- Udział w takich imprezach wymaga roweru typu full suspension, a nigdy nie widziałem Cię na takim rowerze, dlaczego?

Do tej pory nigdy nie miałem potrzeby posiadania takiego roweru, mój hardtail daje radę wszędzie, ale na Crankworx będę miał już konkretnego fulla.

Zdjęcie: **Szymon Nieborak**

- Duże hopy z prostymi trikami czy mniejsze z chorymi kombinacjami?

Mniejsze z combosami wydają się dużo bardziej interesujące, ale trasa powinna mieć też ogromne hopy. Idealna trasa to coś w stylu hop z zawodów 26TRIX w Leogangu!

- Co stało się z Twoim przednim zębem?

Straciłem go w bardzo głupi sposób. Podjeżdżałem na górę roll in'a i coś poszło nie tak i przywaliłem twarzą o rampę... Jak będę starszy to może wstawię sobie nowy ząb ;)

- Czy wiesz coś o polskich riderach?

Wiem, że pojawiło się kilku bardzo niebezpiecznych gości i mam oko na nich.

- Na koniec czy chciałbyś coś dodać od siebie?

Jasne! Dziękuję bardzo moim sponsorom, jesteście zajebiści! No i zapraszam na moją nową stronę ***SamPilgrim.co.uk***. Dzięki!

- Dzięki za rozmowę

Sam Pilgrim królem Wiednia!

Tekst: **Tomasz Profic, Rasoulution.com**
Zdjęcia: **David Ulrich - rasoulution.com**

Vienna Air King

1 miejsce
Sam Pilgrim

Wiedeń, Austria, 12 kwietnia 2010 - ponad 50 zawodników z 14 krajów odwiedziło piątą edycję zawodów Vienna Air King. Tegoroczna impreza była pierwszą z serii Freeride Mountain Bike World Tour. Zwycięzca Sam Pilgrim stoczył ciężką walkę z ubiegłorocznym triumfatorem Martinem Söderström'em, który zakończył rywalizację na drugim miejscu.

Po prawej - Andi Brewi
Po lewej - Amir Kabbani

Podium uzupełnił młody talent ze Szwecji John Alm Högman, Jamie Goldman był czwarty, a na piątym miejscu znalazł się lokalny zawodnik Andi Brewi. Jak co roku mnóstwo ludzi przyszło przed historyczną katedrę w centrum Wiednia, aby zobaczyć grube triki, m.in. 360 double tailwhip, backflipy z combosami na step downie, flary, superflipy czy backflip-tailwhip. Jednak najgrubszym trikiem dnia popisał się Andi Wittman, który w konkursie Panasonic Best Trick wykonał corked 720 i tym samym zgarnął 500 euro za najlepszą sztuczkę imprezy. Suma nagród w postaci 10.000 € + porządne after party po zawodach sprawiły, że sezon rowerowy został rozpoczęty na dobre, zarówno dla zawodników jak i dla fanów.

W tym roku pogoda niestety nie dopisała i nieprzewidywalne warunki (zwłaszcza wiatr) sprawiły, że wielu dobrych zawodników miało problemy na trasie. Darren Berrecloth, Graham Agassiz, Amir Kabbani czy Benny Korthaus, to tylko kilku zawodników, którzy przez wiatr wywalili się i zaprzepaścili swoje szanse na lepszy wynik. Sporą niespodziankę sprawił Andi Brewi, który wykonał xup na dropie, następnie superman indian, barspin, flip turndown i 540 flatspin na końcowym quaterze. Jamie Goldman pokazał czysty techniczny przejazd z flipem na step downie, superman seatgrab, 360 i opposite 360, dzięki którym zajął zasłużone czwarte miejsce.

Trzecie miejsce zajął John Alm Högman, który zrobił tailwhipa na dropie, następnie superman can can, 360, 360 tailwhip i na koniec tailwhip na quaterze. W tym momencie pozostało dwóch zawodników, którzy wygrywali Viennę w ubiegłych latach: Martin Söderström oraz Sam Pilgrim pokazali, że obecnie są bezkonkurencyjni. Martin wykonał 360-kę na dropie, double tailwhip, 360 one hand (które miało być 360 barspin), 360 double tailwhip i tail tap to foot jam na quaterze. Ten przejazd tak ucieszył Martina, że zrezygnował z ostatniego przejazdu m.in. z powodu pogody.

Darren Berrecloth rozdaje autografy...

...a Andi Wittman odbiera nagrodę za najlepszy trik imprezy

Sam Pilgrim wiedział, że musi zrobić coś naprawdę grubego, aby wygrać. W ostatnim przejeździe wykonał backflip table z dropa, backflip xup one foot, 360 table, 360 double tailwhip oraz flarę na koniec i dzięki temu zgarnął 3800 euro za pierwsze miejsce! Ale nie tylko pierwsza piątka pokazała konkretne sztuczki: Blake Samson (6.) pokazał kilka dobrych backflip tailwhip, Andi Wittman (8.) piękne 360 flatspin, a Szymon Godziek (9.) superflipy.

Po prawej - Jamie Goldman
Po lewej - Martin Söderström
Na górze - Sam Pilgrim

Z innych ciekawostek mogliśmy zobaczyć takie triki jak: 360 double tailwhip w wykonaniu Martina i Sama czy double tailwhip na step downie w wykonaniu Martina. Także Dawid Godziek zaskoczył sędziów wykonując 360 triple barspin (!!). Danny Pace wylądował frontflip no hander, a Sam Pilgrim frontflip one foot xup.

WYNIKI VIENNA AIR KING 2010:

1. Sam Pilgrim, Wielka Brytania
2. Martin Söderström, Szwecja
3. John Alm Högman, Szwecja
4. Jamie Goldman, Stany Zjednoczone
5. Andi Brewi, Austria
6. Blake Samson, Wielka Brytania
7. Tomas Zejda, Czechy
8. Andi Wittman, Niemcy
9. **Szymon Godziek, Polska**
10. **Marek Łebek, Polska**
11. Benny Korthaus, Niemcy
12. **Bartek Obukowicz, Polska**
13. Amir Kabbani, Niemcy
14. Darren Berrecloth, Kanada
15. Jakub Vencl, Czechy

Szymon Godziek

od lewej: Martin Söderström, Andi Wittman, Andi Brewi

Podium Vienna Air King 2010

Majówkowe wycieczkowanie

Warszawa > Kraków > Rzeszów > Lublin

Tekst: ***Tomasz Profic***
Zdjęcia: ***Tomasz Profic, Piotr Jarocki***

Długo zbieraliśmy się do wyjazdu na majówkę, ale w końcu zdecydowaliśmy, że jedziemy. I nie przeszkodzi nam w tym fatalna prognoza pogody na weekend, musimy ruszyć się z Warszawy i nie ma bata, żeby tak się nie stało! Ostatecznie wsadziliśmy swoje rowery do samochodu i ruszyliśmy.

Kilka poprzedzających wypad dni spędziłem na poszukiwaniu chętnych osób, które chciałby pojechać gdzieś poszaleć na rowerze. O ile będąc codziennie na hopach było multum osób chętnych na tripa, to jak przyszło co do czego, to okazało się, że jeden nie może, drugi nie ma kasy, a trzeci nie potrafi odebrać telefonu. Ostatecznie pojechałem z moim dobrym znajomym Maćkiem i jego dziewczyną Agatą. W planie mieliśmy odwiedzenie krakowskiego dualu oraz w drodze powrotnej wycieczkę do Lublina. Ostateczne plany zweryfikowała pogoda i troszkę zmieniliśmy plan tripa.

Wyruszyliśmy z Warszawy w sobotę rano i po kilku godzinach prowadzeni przez Krzysia Hołowczyca dotarliśmy do Krakowa. W międzyczasie minęliśmy kilka samochodów zaparkowanych w rowie przy drodze oraz mnóstwo rozjechanych koteczków :D Gdy już dotarliśmy, to niestety miny nam szybko zrzedły, bo w drodze lało tak, że ledwo mi wycieraczki wyrabiały. Niezrażeni takim stanem rzeczy dotarliśmy jednak na krakowski dual i poszliśmy chociaż zobaczyć co straciliśmy. Taplanie w błocie nie było zbyt ciekawe, więc pooglądaliśmy hopki, stwierdziliśmy, że musimy tu przyjechać jak będzie sucho i ruszyliśmy na Wawel na zimnego leszka ;) Ostatecznie skończyliśmy w Pizzy Hut, która była jedynym czynnym przybytkiem w grodzie kraka. Po wykonaniu kilku telefonów szybko zmieniliśmy plan gry i po kilkunastu minutach byliśmy w drodze na dirty do Rzeszowa, gdzie następnego dnia miał odbyć się Skafunder Massive Jam.

Droga z Krakowa do Rzeszowa upłynęła nam na staniu w gigantycznym korku oraz zwymyślaniu Krzysia. Krzysiu kazał nam jechać prosto, a droga prowadziła tylko w prawo lub lewo... i tak kilka razy ;) Na szczęście dzięki tradycyjnemu oznakowaniu dróg dotarliśmy na miejsce bez większego problemu (chociaż wpadliśmy w całkiem spory korek). Gdy ja głowiłem się jak dojechać na miejsce, Maciek z Agatą uskuteczniali partyjkę w scrabble, a efekt tego możecie zobaczyć na zdjęciu obok. Naszym oczom ukazały się hopki, które... po prostu wyglądały bosko! Dawno już nie widziałem tak fajnych dirtów, a chłopaki dopiero się rozkręcają i z pewnością jeszcze bardziej uatrakcyjnią miejscówkę. Po 8h za kierownicą Opla trzeba było zmienić środek transportu i przesiedliśmy się na rowery. Polataliśmy w opór, aż wygonił nas zmrok, a gdy już zapadła noc ruszyliśmy w poszukiwaniu noclegu. Trochę zawirowań z tym było, bo okazało się, że cena za nocleg była inna niż pierwotnie ustalona, a poza tym dotarliśmy jako nadmiarowi, więc trzeba było nas upchnąć w jakiś sposób w pokojach. Ostatecznie jakoś daliśmy radę i można było iść... na imprezę!

Na górze moja tripowa ekipa, czyli Maciek, Agata i po prawej ja sam :) Z kolei w Krakowie spotkaliśmy Optimusa Prime'a, ale niestety nie chciał do nas dołączyć..

„Dual" w Krakowie... szkoda, że ostro padało i zrobiło się błoto, bo miejscówka ma wiele do zaoferowania :)

W nocy zrobiliśmy małą rozgrzewkę przed jutrzejszymi zawodami wg najlepszych tradycji Skafundrowców. Były kiełbaski z grilla, błazenada, gołe dupy, sprinty na golasa ze skarpetką na... między nogami, jazda na dachu mojej Astry oraz wiele wiele innych ciekawych rzeczy, o których nie pamiętam. Jednym zdaniem – impreza integracyjna pełną gębą. Całość zakończyliśmy kulturalnie bez przyjazdu policji o 2 w nocy i udaliśmy się na wieczny spoczynek, który skończył się około godziny 8.

Rzeszów przywitał nas piękną pogodą i jeszcze piękniejszą dirtową miejscówką!

Ogarnęliśmy jakieś śniadanie, zebraliśmy ekipę i ruszyliśmy na dirt, gdzie zaczęli zjeżdżać się uczestnicy Skafunderowej imprezy. O samym Jamie nie będę się rozpisywać, bo od tego mamy oddzielną relację, ale wspomnę tylko, że hopki dały radę! Co prawda na dużym rytmie czułem się jak chomik w kołowrotku, a część osób (podobnie jak ja) miała problemy z doleceniem step downa, to mimo wszystko fajnie się latało na większych skoczniach. Borek i Qajo zadbali o odpowiednią oprawę, a rozkręcającą się publiczność trochę przygasiła nadchodząca burza. Na szczęście przyszła ona na sam koniec imprezy i w momencie gdy runęła ściana deszczu byliśmy już schowani pod dachem. W tym momencie Qajo, Borek i Szach wpadli na pomysł spontanicznego „slip & slide" i we trójkę udali się poślizgać w błocie... oczywiście w samych gatkach.

My ruszyliśmy w miasto w poszukiwaniu jedzenia. Znaleźliśmy jakiś studencki kebab i muszę przyznać, że za 13 zł takiego wielkiego kebsa nie dostaniecie nigdzie! Mnie i Maćka kebab pokonał, Agata zamówiła mniejszą porcję, a Szach wykupił pół lokalu zabierając jedzenie dla reszty ekipy. W tym momencie naszła nas ochota na shake'a z McDonalda i to zadanie ponownie przerosło Krzysia, który nie potrafił doprowadzić nas na miejsce. Inna sprawa, że ten popularny lokal gastronomiczny był oznakowany tak dobrze, że tylko ludzie sąsiadujący z McD mogli tam trafić bez problemów ;) Żeby było śmieszniej, to podczas jazdy po Rzeszowie wentylacja w Astrze wymiękła, a deszcz nawalał równo. Cały czas kombinuję jakim cudem na nic nie wpadliśmy w tak zaparowanym samochodzie...

Wieczorem nadszedł czas na Skafunder After Party, na który trzeba było dowieźć ekipę pijaków. W międzyczasie udało mi się naprawić wentylację, ale przy okazji rozładowałem akumulator. Jednak od czego ma się ekipę? Odpaliliśmy furę „na pych" i ruszyliśmy na after party! Ja grzecznie wróciłem do hotelu (cholera!), a reszta ekipy bawiła się w najlepsze. Niestety następnego dnia czekała nas wyprawa do Lublina, a następnie do Warszawy, więc prowadzenie po całonocnym afterze nie byłoby zbyt dobrym pomysłem. Błogi sen przerwała mi ekipa, która stwierdziła, że nie ma jak wrócić do hotelu i około 3.00 znów robiłem za taksówkę. W drodze powrotnej zapakowaliśmy z 8 osób, a Qajo zdążył zasnąć w bagażniku...

Rano opuszczaliśmy hotel jako pierwsi... Wesoła ekipa zrobiła nam dżołka i musiałem na nowo ustawiać lusterka i wycieraczki, ale za to zemsta była słodka. Może fallus z taśmy izolacyjnej przyklejony do szyby nie wyszedł nam najlepiej, ale odegraliśmy się :P Ruszyliśmy na Lublin, gdzie byliśmy umówieni z kolejną ekipą. W międzyczasie odwiedziliśmy budujący się bike park i spotkaliśmy tam znajomych z Wawy, czyli Badmana i Kaefpe. Miejscówka prezentuje się nieźle, ale błoto tam panujące wygoniło nas dość szybko... Wspólnie udaliśmy się na spotkanie z Igorem i Piotrkiem, którzy mieli oprowadzić nas po miejscowych trasach, a podczas dojazdówki Badman po raz kolejny utwierdził mnie w przekonaniu, że należy mu zabrać prawo jazdy ;)

W Lublinie nie chciało mi się już wyjmować aparatu, więc możecie zobaczyć w akcji Igora (zdj. Piotr Jarocki)

Dotarliśmy na miejsce i po raz kolejny pogoda udowodniła, że w ten weekend za wiele nie pojeździmy. Zdążyliśmy pojeździć tylko po kilku traskach i w sumie może przez 1-2 godziny. Dobrze, że to był środek lasu, to chociaż chwilę polataliśmy...

Uwaleni w błocie spakowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy w drogę powrotną do Warszawy. Po raz kolejny trafiliśmy na korki, w końcu cała Polska wraca z majówki, a dojeżdżając do stolicy musieliśmy zmienić trasę, aby nie utknąć na dobre. Badman z Kaefpe wypruli do przodu i co chwilę przekazywali nam info jak jechać, aż w końcu trafiliśmy do podwarszawskiego Emowa. Tak tak, raj dla emo ma swoje miejsce – Emów! *„Mają tam takie drogi, że można się pociąć”* (cyt. Kaefpe), a po pokonaniu tej miejscowości Krzysiu znów wyprowadził nas w pole... dowcipniś. Ostatecznie jakoś dotarliśmy do domu późnym popołudniem z uśmiechem na twarzy i lekkim niedosytem, że nie wszędzie dało się pośmigać. Jednak gdyby nie pogoda, to zapewne nie dotarlibyśmy do Rzeszowa, więc w sumie nie wyszło tak źle. Majówka się udała, a teraz trzeba zaplanować tripa na długi weekend w czerwcu. Oby pogoda dopisała...

...a tak wygląda Bike Park w Lublinie, który w chwili naszego przybycia był jednym wielkim mokradłem :)

Wyjazd w liczbach:

0 pań lekkich obyczajów stało na polskich drogach :(
1 glebę zaliczyłem na sam koniec wyjazdu
3 dni padało...
4 miasta odwiedziliśmy
5 razy Krzysiu wyprowadził nas w pole
8 osób weszło do Astry po afterze
10 (około) rozjechanych kotków spotkaliśmy na drodze
100 km/h jechał Borek na dachu Astry
190 pln wydaliśmy na podtlenek LPG
936 km pokonaliśmy na tripie

Kilka linków:

- helmet cam z pump tracka w Rzeszowie i Górek Czechowskich w Lublinie (pinkbike.com)

- helmet cam z finałowych przejazdów Filipa Kołodzieja podczas Skafunder Massive Jam (facebook.com)

Co tu więcej pisać? Trzy dni spędziliśmy w samochodzie i sporadycznie na rowerach, z kolei dwie noce spędziliśmy dobrze się bawiąc w dobrym towarzystwie. Z pewnością wyjazd można zaliczyć do udanych, choć pod względem rowerowym zawsze mogło być lepiej, ale... co się odwlecze, to nie uciecze ;)

W czerwcu będzie kolejny długi weekend i już zaczynam powoli planować co i jak, może tym razem zrobimy trip poza granice naszego kraju, a może znów zwiedzimy pół kraju uciekając przed deszczem... >:D

Trochę inna relacja z Rzeszowa..

Skafunder Massive Jam

Tekst: ***Tomasz Profic, Marcin Borek, Mateusz Organiściak***
Zdjęcia: ***Bartek Woliński - wolisphoto.com, Adam, Delikat, Piotr Poręba - baz.fotolog.pl, Oskar Wilk***

Tomasz Profic: Do Rzeszowa dotarliśmy trochę przypadkiem, ale akurat był to bardzo dobry zbieg okoliczności, bo to co tam zastaliśmy sprawiło, że na długo zapamiętamy ten weekend. Dlaczego? Odbywał się tam Skafunder Massive Jam! ...ale nie będziemy się tu rozpisywać o tym, kto, gdzie i co zrobił. Pogadamy trochę z organizatorami i zobaczymy jak wyglądała impreza z ich perspektywy...

Tomasz Profic: Na dzień dobry krótko przedstawcie się szerszej publiczności...

Mateusz „Organ" Organiściak (po lewej): 19-letni awanturnik z Rzeszowa, znany też jako „organloboz", stroni od alkoholu, kobiet i różnych odżywek, zwolennik ojca Rydzyka i jego moherowej armii, obecnie połamany.

Marcin Borek (po prawej): Syn Edwarda i Aleksandry, urodzony poprzez cesarskie cięcie, aktualnie zamieszkuję Kraków, ponieważ styl warszawski robił mi pranie przez 6 lat, na co nie mogłem sobie już pozwolić jako 27-letnie dziecko.

- Dlaczego Skafunder został przeniesiony ze Skarżyska? Dlaczego Rzeszów?

Marcin: Dlaczego? Różnie bywa w życiu, raz masz co palić, a raz palisz kumplowe. Ludzie przychodzą i odchodzą, mają zajawkę i jej nie mają. Skarżysko ma to do siebie, że jest małym miasteczkiem, z którego ludzie po ukończeniu szkoły wyjeżdżają do wielkiego miasta za chlebem i kołkiem. W tym roku ska opuszcza mój brat, który ładnie przykładał się do całości i nie pozostaje już nikt, kto sam z siebie tryśnie pomysłem, albo weźmie łopatę i zacznie kopać. Osoby, które trwają cały czas można policzyć na palcach, a osoby które miały chwilowy trans można mnożyć. Filozofia rozłamu jest bardzo prosta i składa się na nią klika aspektów. A dlaczego Rzeszów? Proste – na pierwsze skafandry przyjeżdżał do nas Organ, który zawsze miał zajawkę i nie oczekiwał za to milionów monet. W tym roku miałem już płodzić dzieci, ale Mateusz powiedział – „Borek, a może by w Rzeszowie?" – no i odpuściłem rodzicielstwo na przynajmniej dwa lata.

- Organ, jak Ci się współpracowało z Borkiem przy organizacji imprezy?

Mateusz: Borek to wielki skurw... nic nie robił ;) A tak bardziej poważnie, to współpraca układała się elegancko. Borek zajmował się rozgłosem w sieci i opracowaniem afteru, a ja sie zająłem się przygotowaniem dirtów. Oczywiście nie robiłem tego sam, wielki wkład miała w tym ekipa rzeszowskich wyjadaczy łopat.

Marcin: Tak jestem skurw***m, bo bez tego ani rusz w tym świecie. Trzeba się chronić przed dymaniem w dupsko. Ale racja, nie przyłożyłem łopaty do hopy, ponieważ mieszkam 200 km od Rzeszowa. Rzeszowiaki ładnie się uwinęli i zrobili bardzo ładne trialsy. Organ jak na 19-latka, który w tym czasie miał matury, naprawdę trysnął energią organizatorską. Przed nim teraz ciężki etap, bo za plecami pewnie mówią, że gwiazda, ale to nieodzowna cecha tego całego szitu. Jeszcze kilka imprez i wyrośnie nam ładny organizator.

- Kto poza Wami był uwikłany w organizację?

Mateusz: Rzeszowska grupa OX, która organizowała swoją zajawkę - Extreme Day. Podłączyliśmy się do imprezy urozmaicając ją i omijając niepotrzebną papierkową robotę z miastem, która mogła potrwać bardzo długo . Należą im sie wielkie podziękowania, dostaliśmy od nich pieniądze na organizację, ziemię na nowy rytm, koparkę i inne sprawy, które potrzebowaliśmy by impreza się odbyła.

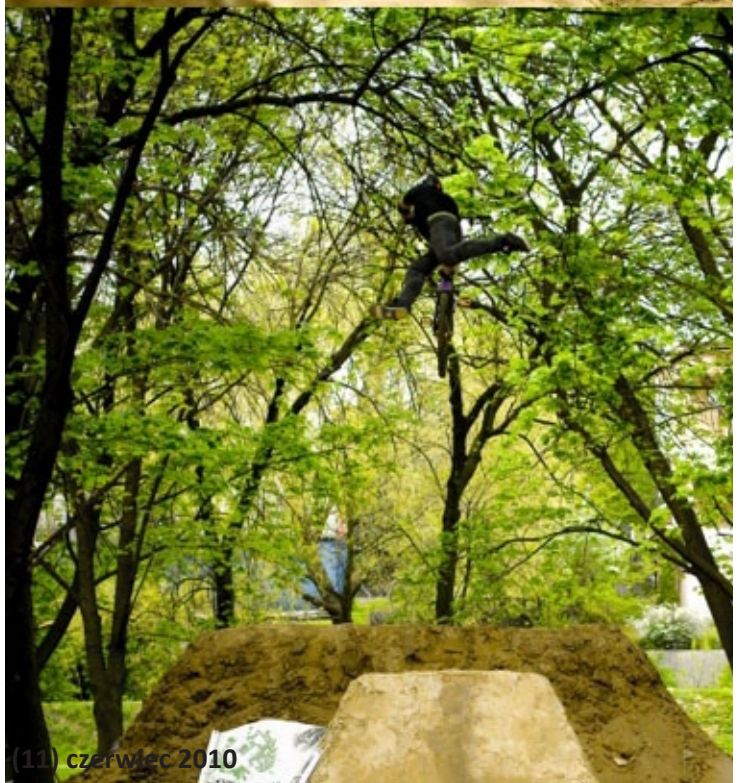

- Czy wszystko przebiegało zgodnie z planem jaki sobie ustaliliście?

Mateusz: Wszystko przebiegałoby zgodnie z planem gdyby nie pogoda :) Przed zawodami nie padało, przez 2 tygodnie świeciło piękne słońce, które doskwierało przy machaniu łopatą, ale jak to w życiu bywa nic nie jest tak piękne, jakby się chciało. Dzień przed zawodami postanowiłem dać cynk riderom, żeby stawili się wcześniej, aby rozegrać zawody przed wielką ulewą, o której trąbili od tygodnia i akurat wypadała ona w dniu jamu...

Marcin: Jak dla mnie było wszystko ładnie dopięte na prawie ostatni guzik. Wszystko na miejscu i nie ma się do czego przyczepić. Jak dla mnie jedna z najlepiej dopiętych imprez.

- Może troszkę o zawodach... jaki był poziom itp., zadowoleni jesteście z przebiegu zawodów?

Mateusz: Myślę, że poziom był dobry. Zresztą ciężko o tym mówić, ponieważ ludzie dopiero zaczynali się buzować, ale tą buzację przerwał deszcz. Finał rozegraliśmy w bardzo przyspieszonym tempie, zresztą zobaczycie sami na relacji od Cooby. Czy jestem zadowolony? Jestem, ponieważ w końcu zaczęło się coś dziać w Rzeszowie. Szkoda tylko, że nie przebiegło to tak, jak zaplnowaliśmy, ale cieszę się, że zawody się odbyły i moja praca ze złamaną ręką nie poszła na marne.

Marcin: Ja się nie wypowiadam, bo się nie znam na sztuczkach, ale był taki jeden gość, który ładnie zdejmował nóżkę z placka jak skakał na pierwszej hopce. No i kręcili tymi rowerami tak wkoło kierownicy. Kurde… ja cię…

- Borek, czy Skafunder Massive Jam można śmiało nazwać kontynuacją znanych nam Skafundrów, czy jednak była to impreza odbiegająca klimatem od tego co już znamy z czasów Skarżyska?

Marcin: Tomas – sam byłeś świadkiem tego co się działo na beforze, podczas imprezy i na afterze (czy spałeś w hotelu jak był after?). *[próbowałem się zdrzemnąć, bo ktoś potem musiał przywieźć pijaków do hotelu – przyp. red.]* Klimat w niczym nie odbiegał od imprez w rodzinnych stronach, czyli na hali. Brakowało oczywiście murów i skarżyskiej gościnności aferowej, ale całość trzymała klimat i floł skafandrowe.

- Na koniec, czy chcielibyście coś dodać? Zaprosić na następną edycję, podziękować mamie lub coś w tym stylu?

Mateusz: Kolejna impreza, hm... :D Na pewno coś zrobimy, ale póki co nie chce jeszcze nic o tym mówić, ale będzie to na pewno gruba akcja. Chciałbym też pozdrowić wszystkich, którzy opier**li mi plecy podczas przygotowywania zawodów.

Marcin: Heh, dobre pozdrowienia Organ prawi ;) To ja się dorzucę z disem na nierobów i pieniaczy. Dodatkowo propsy dla: Pudzian, Motyl, Lopes, Ziemniak, Kamyk i tam paru jeszcze, no i duże podziękowania dla Osy i OX.

Kilka linków:

- videorelacja by Cooba

- videorelacja by Baz

PUCHAR ŚWIATA DH

MARIBOR

Tekst: ***Mateusz „Chudy" Grochal*** *- bike-camp.pl*
Zdjęcia: ***Tomasz Rakoczy*** *- tommysuperstar.com*

Do wakacji zostało jeszcze trochę czasu, jednak ekipa Bike-Camp postanowiła na rozgrzewkę zorganizować tripa do słoweńskiego Mariboru. Razem z 6-osobową grupą uczestników wypadu oglądaliśmy zmagania najszybszych zjazdowców na opłakanej deszczem trasie w Mariborze. Postanowiliśmy podzielić się z Wami wrażeniami z pierwszego Pucharu Świata.

Sobota:

Po całonocnej podróży ok. szóstej rano dojeżdżamy do Mariboru. Pada gesty deszcz. U podnóża góry nie ma żywej duszy, zatem postanowiliśmy się zdrzemnąć i poczekać na rozwój sytuacji. O godzinie 8.30 rozpoczęły się treningi – najwyższy czas uzbroić się wodoodporny strój i parasole. Trasę zaatakowaliśmy od dołu- czyli od końca ;). Warunki zarówno dla zwiedzających jak i zawodników nie były zachęcające- deszcz, deszcz, i klejące się do butów błoto. Jednak to nie stanęło nikomu na przeszkodzie. Ogólnie trasa w Mariborze jest szybka, stosunkowo stroma, szeroka, miejscami kreta, ale co najważniejsze płynna. **Najważniejszymi punktami trasy wymieniając od góry jest, gap w 1 lesie i sekcja zakrętów, dalej po polanie i wlocie do lasu napotykamy na pofałdowaną sekcje lekkich łuków na których zawodnicy poruszają się jak kangury z imponującą prędkością.** Następnie słynny rock&roll - kamienny ogród, który zbierał żniwo i dokładał roboty mechanikom.

Niestety nasz reprezentant Maciej Jodko również padł ofiarą rockgardena, kiedy to zaskakując po kamieniach w przejeździe kwalifikacyjnym złapał kapcia i wygiął napinacz. Dalej z ciekawszych elementów na trasie, czekał na zawodników trawers obfity w korzenie. Zaraz po trawersie ścianka i zeskok do wąwozu z bandą w prawo. Ostatnim miejscem na trasie gdzie gromadziła się większość kibiców był wypad z lasu na bandę i końcowy 12 metrowy dabel.

Po obejrzeniu treningów, przyszedł czas na eliminacje. Czołowi zawodnicy raczej podchodzili do nich z dystansem, natomiast pozostali musieli dać z siebie wszystko, aby rywalizować w niedzielnym finale. Poziom jazdy jaki dane nam było oglądać był imponujący. Z minuty na minutę uświadamiał nas w tym że warto było przyjechać pomimo niezachęcającej pogody. Po kwalifikacjach silny doping z Polski postanowił zakwaterować się w hotelu. Mniej przemoczeni ochotnicy wrócili o 16 na tor do 4crossu dopingować finałowe przejazdy. Tor był w dramatycznym stanie, bandy miękkie jak plastelina a przed każdym wybiciem i muldą kałuża wody. Opady deszczu przez całą sobotę uratowały jednak sytuację, gdyż błoto było stosunkowo rzadkie.

Do finałów zakwalifikowało się 64 zawodników, w tym jedyny Polak, Piotrek Paradowski. 1/16 przeszedł gładko dojeżdżając za wygrywającym prawie wszystkie biegi Gravesem, w 1/8 nie dał już jednak silniejszym: Novakowi, Novotnymu i Gravesowi., Niespodziankę z przejazdu na przejazd sprawiał Michał Marosi, 32 letni weteran zjazdu i 4x z Czech, który gładko kwalifikował się do kolejnych rund. Finał mężczyzn rozegrał się na drugim zakręcie gdzie Slavik uderzył w prowadzącego Gravesa, sytuacje wykorzystał Marosi i nie oddał prowadzenia do mety. Identyczny przebieg miał finał kobiet, gdzie Beerten i Buchanan zderzyły się oddając prowadzenie trzeciej Griffiths.

Wieczorem postanowiliśmy zapoznać się z kulturą słoweńską. Pomimo szczerych chęci nie znaleźliśmy ani imprezy, ani otwartego sklepu w centrum miasta! Zdegustowani wróciliśmy do hotelu.

Niedziela:

Trzy razy dzwony kościelne zabiły zanim zwlekliśmy się z łóżek. Szybkie śniadanie i lecimy oglądać przygotowania do przejazdów finałowych. Ku naszemu zdziwieniu i uciesze ktoś wyłączył deszcz. Podczas przyjemnego spaceru po parkingu wypełnionym namiotami team'owymi, mogliśmy zobaczyć zaplecze najlepszych z najlepszych. **Ciekawostką było to, ze większość zawodników na przesychające warunki przycięła mudy, aby zmniejszyć opory toczenia.** W namiocie Syndicate, Kathy Sessler okładała lodem ramię Steve'a Peat'a po glebie w porannym treningu. Pozbieraliśmy fanty, pstryknęliśmy focie i udaliśmy się na błotniste ścieżki przy pucharowej trasie. Godzina 13 start finału. Na początek poleciały Panie. Było ślisko, było z górki, dowiozły się panie nie niszcząc fryzurki ;). Najszybciej trasę pokonała Rachel Atherton. Przyszedł czas na męskie top 80. Już po przejazdach pierwszych zawodników byliśmy zaskoczeni, że to najwolniejsi z finałowej stawki. Potem było tylko szybciej. Trasa robiła się coraz bardziej wymagająca. Podsychające błoto formowało się w koleiny i odsłaniały się nowe śliskie korzenie. Zawodnicy którzy ćwiczyli indywidualne linie byli mniej zaskoczeni zmieniającą się linia główną. Finałowe przejazdy zakończył Sam Hill który nie utrzymał swojej pozycji, przez wywrotkę w dolnej części trasy. Najszybszy był Greg Minnaar wyprzedzając Gee Atherton'a oraz trzeciego Brendana Fairclough'a.

Dekoracja zwycięzców nastąpiła od razu po zakończeniu finałów. Ostatnim etapem naszej wycieczki był powrót. Sztorm na trasie Maribor – Kraków dawał w kość kierowcom, jednak dzielnie doprowadzili swoją załogę do portu.

Puchar Polski DH

Wisła Stożek

Tekst: **Justyna John**
Zdjęcia: **Piotr Bożek, Agnieszka Zalewska, Łukasz Łosoń**

'Niech Wisła popłynie!'- hasło przewodnie pierwszych w tym sezonie zawodów downhillowych zdominowało fora. 25 kwietnia 2010 roku rozpoczęliśmy nowy sezon. Nowe teamy, nowe twarze – wiele zmian. Tak naprawdę wiele rzeczy dopiero ma się okazać.

Hungry4Sport Team trenował już od piątku rano. Jacek, Olek, Antares oraz ja wzięliśmy się ostro do roboty. Tradycyjnie pierwszy zjazd odbyliśmy tempem piknikowym na zasadzie 'obczajamy Misie, obczajamy'. I czego się dowiedzieliśmy? W zasadzie trasa niewiele zmieniła się od tej z zeszłorocznego pucharu. Las ten sam, hopa jest. Zmienił się dół- 3 nowe bandy na polanie po drewniaku oraz wlot do lasu, a w nim mała hopa. Meta tez tradycyjnie. W sumie sucho, tylko to błoto na nartostradzie- jedno wielkie bagno! Ktoś rzucił pomysł jazdy na madach. Ee tam, farmazony.

Zjazd za zjazdem idzie nam coraz lepiej- pogoda też dopisuje, ludzi zbiera się coraz więcej, chociaż pewnie większość i tak przyjedzie w sobotę.. i tak też jest- sobota rano wita nas słoneczkiem, tłumem ludzi oraz mnie- wysoką gorączką. Zjeżdżam raz i odpuszczam- nie mam siły trzymać roweru. Chłopaki za to naszataniają aż miło- są zadowoleni z trasy, jazdy i warunków. Tak jak przewidywałam- przyjechało jeszcze więcej ludzi - teamy z Czech, Słowacji, kilku Rosjan. No i on- zawodnik światowego formatu, Filip Polc! Tak Hubercie, to ten Polc z tych Polców i nie ma się co do niego ślinić- pojedzie 'po swojemu' i pokaże klasę, Tak więc w przerwach między spaniem w aucie obserwuję wszystko, co dzieje się pod wyciągiem. A tam tłumy! Za to wszyscy zachwyceni organizacją i trasą. Tylko bandy cos im nie leżą..

Nadchodzi niedziela. Mnie nadal dręczą objawy grypy jelitowej, więc definitywnie rezygnuję z jakichkolwiek prób jazdy. Za to reszta teamu odbębnia po 1-2 zjazdach przed eliminacjami i.. zaczyna się!! Po kolei lecą kategorie- najpierw hobby: hardtail, junior, full. Po nich licencjonowani: kobiety, mastersi, junior i elita.

Z pozycji kibica wszystko wygląda inaczej- jakoś spokojniej, za to bardziej widowiskowo. Ustawiam się koło Hopy, wyżej nie mam siły podejść. Idealny widok na drewniaka, bandy i wlot do lasu. A tam co się dzieje! Riderzy lecą objazdem, skaczą tłumiąc, nie dolatując, przelatując lub z trickiem. Czasem zdarzy się jakaś niespodziewana aczkolwiek bardzo widowiskowa gleba. Na bandach to samo. Mam wrażenie, że porobiły się na niej dziury. Zawodników rzuca, zdarzają się widowiskowe gleby. Razem z Agusią komentujemy wszystko. Aga przy okazji uwiecznia naszych kochanych mastersów na aparacie. Wyniki elity jakoś nie dziwią - Polc 1. Za to w kobietach Radovana daje czadu i plasuje się na 1 pozycji.

Po eliminacjach czas na finał. Ta sama kolejność startu, za to zmiany na czołowych miejscach. Pomijając fakt wielu gleb m.in. Jacka Cienciały, lot przez kierę Radki Slizikowej czy (podobno, chociaż info niesprawdzone) – Filipa Polca! I co Wy na to? :)

Zdjęcie: **Joanna Bech**

Puchar Polski DH

CZARNA GÓRA

Tekst: ***Justyna John***
Zdjęcia: ***Joanna Bech, Dominik Friedek***

Druga edycja Pucharu Polski w sezonie 2010 jest moją pierwszą. Zjawiamy się w czwartek w południe pod wyciągiem a tu suprise! Wyciąg jakoś nie chce działać. Nie, nie- nie popsuł się, za to jest na nim jakaś odgórna kontrola więc nie wsiądziemy. Za to bardzo miły lokales wpakowuje nas do swojego polonezika, rowery na nasz osobisty bagażnik i wbijamy na górę. Od stacji badawczej o nieznanym mi przeznaczeniu wędrujemy w stronę stoku i jesteśmy na miejscu.

Zdjęcia: **Dominik Friedek**

Trasa zaczyna się troszkę inaczej - wjazd jest chyba wyżej. W toku poznawania trasy stwierdzam, że kamienie zostały w magiczny sposób wygładzone. Nie ma też ogromnych wyrw znanych z poprzednich czarnogórskich imprez. W każdym razie trasa prowadzi po staremu z niewielkimi zmianami. Wjazd do lasku znajomy, tam zaś inaczej puszczona linia, co i tak jest ciężkie do pokonania po suchym, przynajmniej dla mnie. Wylot po stronie lewej i wpad do przejściówki pod wyciągiem. Tam znana i lubiana ścieżynka, na której w tym roku nie wybija strumyczek! (mam pewne podejrzenia co do puszczenia inaczej mini- korytka, chyba że jest to zbiorniczek okresowy i na ten rok wysechł). Następnie dolny las bez zmian i.. od razu wylot na hopkę! Kawałek nartostrady i dwa zupełnie nowe elementy – hopa duża po lewej lub mała przez rów po prawej stronie malowniczych krzaczków. Seria zakrętów rodem z Wierchomli i - jesteśmy na mecie. Jeździ się całkiem fajnie- chłopaki podprowadzają rowery kilkakrotnie, ja obczajam fragmentarycznie, najpierw z bucika, aby po chwili wrócić po rower i zjechać.

Wracamy na naszą marmurową kwaterę w której instaluje się Jaco, Tomasz i Szymonek. Oraz kot! Gruby rudy kot rasy leśny norweski, który w środku nocy wystraszył naszego drogiego Antaresa ładując mu się na klatę ;)

W piątek niezgodnie z ustaleniami (co akurat nas cieszy) wyciąg zostaje odpalony. Jeździmy, jeździmy i jeszcze raz jeździmy. W międzyczasie Johnny i jego kumple rzeźbią przy końcowej hopie oraz wprowadzają typowo 'kosmetyczne' poprawki. Ogólnie pogoda dopisuje, humory też, a bombard ino z kawiarni dodaje animuszu mastersom.

Zdjęcie: ***Joanna Bech***

Tymczasem sobota.. Od rana mokro, zimno i niemiło. Zjawiają się zawodnicy i na parkingu tworzy się tłok. Obeznani z trasą niczym się nie przejmujemy, robimy swoje. Nie ma co się rozwlekać na temat tego samego, bo najważniejsza jest niedziela.

Ta zaś nadal zimna i niemiła. Jadę sobie treningowo, a tu mgła jak siemasz Wiktor, nic nie widać. No to pięknie. Kobitek jest 5, nie będziemy z Sojeczką same. Najpierw kategorie hobby, później licencjonowane. Tymczasem kobiety jada na końcu! Trasę mamy rozjeżdżoną, porobiły się paskudne koleiny i w ogóle ciapa straszliwa! Jakoś dotaczam się bezglebowo tempem 'piknik' na sam dół. Pan nadal liczy mi czas myśląc, że ja to nie ja ale koleżanka, którą minęłam na kamyczkach u samej góry. Jest dobrze, tylko troszkę zimno w tyłek. O pardon, bym zapomniała- wyciekł tylny hamulczyk, ale da się radę, troszkę się tylko zapowietrzył i działa na pół gwizdka.

Czekamy do finałów, rower myje się według najnowszych trendów - w rzeczce. Co też z uśmiechem na buzi czynię, a Rafałem uwiecznia na swym aparacie. Czas na wjazd na górę. Przede mną Sojeczka złapała fazę na muzykę i podczas drogi wyciągiem wyje niemiłosiernie myśląc, że jej nie słychać;) Na starcie ludziska trzęsą się z zimna. Przez chwilę nie ma mgły, która pojawia się na sekundkę przed startem kobiet. Tak więc ruszyłyśmy.

Jak wiadomo stres i spinka niczemu dobremu nie służą, także w poszukiwaniu dobrego rytmu jazdy zaliczam glebę już na pierwszym zakręcie na kamolach. I tak co trochę aż do dolnego lasu. Co prawda na sam dół dojeżdżam jako druga, ale tak wkurzona na siebie i swój czas, że lepiej nie mówić. Za to moje Hungry4Sport chłopaki całkiem zadowoleni (no, może poza Jackiem, który pędził jak strzała ale coś go najwidoczniej zatrzymało). Po szybkim szałerku rowerów słyszę przez głośnik dekorację hobby hardtail. Lecę na górę, Mastersi częstują mnie złotym specyfikiem z kryształowego pucharu, odbieram co moje (całe szczęście że Soja jest 1, bo byłby problem z transportem różowego Gary Fishera:P) i jeeść! Cali i zdrowi, z prawie sprawnymi rowerami docieramy na kwaterkę i w dom.

Na koniec słowo do organizatorów ze Stowarzyszenia parkrowerowy.pl 'DOBRA ROBOTA, OBY TAK DALEJ!!'.

CZARNA GÓRA

O zdobywcach Pucharu i strzegącym go okrutnym Karkonoszu, o daremnych ofiarach i ofierze losu

*Tekst napisał **Rafał Wypiór**, a opowiadanie zdjęciami ubarwiła: **Joanna Bech***

Jak powszechnie wiadomo, Sudetami niepodzielnie rządzi stary dziad Karkonosz, władca kapryśny i zawistny. Ze złośliwością godną lepszej sprawy traktuje on śmiałków, którzy od lat bezskutecznie walczą o względy jednej z jego córek, najurokliwszej, ale i najdzikszej - smukłej Montenegro. Nie dość, że ona sama ochędożyć się nie skora, to jeszcze jej papa na dziarskich jeźdźców, co w zbrojach i na aluminiowych rumakach u jej stóp obóz rozbili, by kielichem, Pucharem Polski zwanym, ugasić pragnienie sławy, strugi wody i błota wszelakiego zesłał, a czynił to okrutnie, coraz większą miarkę odmierzając, niczym cysorz japoński na torturach. Miarka się jednakowoż przebrała i śmiałkowie owi, nawykli do wypijania piwa, nie przez nich przecie, ale że w owym Pucharze naważonego, to i protestować się nie godzi, rumaki w miękką, acz drapieżną gumę obuli i dalej używać sobie na spływającym ze ślicznej Montenegro makijażu. To jednak jej urodzie nie szkodziło, bo nie z silikonu i botoksu jej niebywały urok bierze swój rodowód, lecz na jędrnej skale liczne jej krągłości są ufundowane.

Co bardziej przesądni, a przed owymi skalistymi krągłościami respekt odczuwający, po twarzach pobratymców się rozglądali, miarkując, że odnajdą na nich ścieg fastrygi, co cieniem przecina, azaliż to jakaś blizna, drogę obraną przez woja. I ja, dnia pierwszego, z ukrycia na swojego kompana spojrzałem i takem go zaklął, że rozum postradał, hamulce na stromiźnie puścił i szczupakiem z siodełka dał się wysadzić, aż jego kości zostały rzucone na łaskę i niełaskę medyków.

Drugiego dnia znowu spojrzałem zawistnym okiem na tego, co go faworytem zwali, by miejsce podobne sobie obrawszy, podobnie rozum postradawszy, rzucił się na łeb na szyję w dół. Szczęściem od Boga, na obtłuczeniu piszczeli się skończyło, ale za to taką boleść powodującym, że faworyt łzami dzieciątka się oblał i od tej pory już tylko cierpiętnika odgrywał, a góra aż odetchnęła z ulgą, że zdobyczą dziecięcej krucjaty się nie stanie. I nastał trzeci dzień - dzień turnieju o Puchar, a Karkonosz jakby się wściekł. Kichał, prychał, farfocle z wszystkich dziur mu leciały. Istny underworld się zrobił, aże zamiast przyłbicy umyśliłem sobie akwalung założyć. Ale nic to przy falach ciepła, które napierać na mnie poczęły przy każdej próbie wertykalnego do punktu przyłożenia ciała postawienia. I przed oczami stanęły mi sceny z poprzedniego wieczora, gdy po wielokroć przymierzałem się do pucharu, złocistym trunkiem wypełnionego.

To mnie pokarało za wszystkie czary mary i bloody mary. Sił brak, by powstać z martwych, a cóż dopiero z prochem i błotem się zmierzyć. Miast gwałt na dziewicy czynić, sam sobie gwałt zadawałem. Cud, że w ogóle się stoczyłem w jednym kawałku, ale zważywszy na tempo, bardziej mi już skamienienie groziło. Taki już ze mnie rolling stone - master z racji wieku, a nie zasług, a zasługi największego jebaki tego dnia położył Joda - wojownik nie z tej bajki, który zaliczył szybki numerek z Montenegro, jakby to pospolita dziewka była, na szczególną atencję nie zasługująca.

Puchar Polski DH

Tekst: **Justyna John**
Zdjęcia: **Piotr Staroń - staronphoto.com**

Międzybrodzie Góra Żar

Żar leje się z nieba, a nam jeszcze każą jeździć! Wszystko zaczyna się w piątek. Wyruszamy w silnym składzie na podbój Międzybrodzia. Wjazd na parking, montaż nowiusieńkiej sztycy i siodła Kore, ciuszki robocze i dawajta na stok.

Na trasie nie zauważam wielkich zmian. Zresztą co można zmienić na trasie, której siłą rzeczy nie da się puścić inaczej, bo po nartostradzie to bez sensu. Tak więc rockgardenik, 2 hopy ziemne, pełno zakrętów w lesie na przemian z przelotówkami przez nartostradę i.. hopeczka z pieńkiem. Nie no, z tą hopą to w sumie przesadziłam- tyle co uskok, ale pieniek na środku działa na psychikę i nie pozwala mi oderwać się od ziemi (a Santi przygrzmocił o niego pedałem, więc mam marne usprawiedliwienie;)).

Olek popyla z całej pary, Antares szczerzy kła zadowolony z siebie, czasem mignie też gdzieś Jaco. Mnie w sumie nieźle się stacza, tylko jakoś niemrawo.

Sobota wita nas pięknym słońcem, upałem lejącym się z nieba i.. brakiem Jaca. Rozchorował się biedak, temperaturka wysoka – niech zdrowieje.

Jazda po wyspaniu się od razu wygląda inaczej. Dziwnym trafem, jak na mój poziom, włącza mi się opcja 'popylacz' i zaczynam powoli puszczać hamulce. No no, Olkowe nauki nie idą w las! Jeździmy sobie bezstresowo co jakiś czas wymieniając najnowsze wiadomości z kraju i ze świata, z różnymi zawodnikami i miedzy sobą.

Pojawił się też długo wyczekiwany Kolbi. Nasza gwiazda wróciła opalona, uśmiechnięta i zakochana z samego USA, czego serdecznie gratulujemy i życzymy sukcesów :)

Wracając do tematu to.. zrobiła nam się już niedziela! Słoneczko świeci, ale jeśli komukolwiek wydaje się, że suchutka traska taką pozostanie, to jest w wielkim błędzie.

Mniej więcej koło godziny 12 z małym hakiem, a więc w trakcie eliminacji hobbystów nadchodzi czarna chmura. Jakby nigdy nic leci sobie od strony Bielska niosąc ze sobą ulewny, zimny deszcz i psując tym samym plany niejednemu zawodnikowi. Nauczona szybkiego reagowania biegnę pod Zaborowy namiot, gdzie tata Kuby pomaga mi w ekspresowej zmianie opon, bo już czas na start. Zziajana dojeżdżam na górę tylko po to, żeby dowiedzieć się, że.. przerwano zawody! No nie, tego jeszcze nie było. Czekam tak sobie na górze, czekam, w międzyczasie gawędzę z młodym, sympatycznym Panem Sędzią i woda z dach namiotu wylewa mi się wprost za buzer. Zdaje się, że ta woda była kopem motywacyjnym do szybkiej ewakuacji na dół w eliminacjach, bo ciary przeszły po mnie porządne.

W każdym razie bez najmniejszych problemów, tempem sprawdzającym przyczepność opon staczam się na dół. W efekcie jestem sobie 2 i mam tak zwany zaciesz.

Sytuacja w finale niewiele odbiega od tej z eliminacji – niby na chwilę pokazuje się słoneczko, ale hobbystom znów pada. I znów główna Pani Sędzina która chyba nie bardzo wiedziała, co się robi w sytuacji deszczu (otóż droga Pani, nie robi się nic, zawody trwają dalej!) przerwała zawody. Tak więc mam moment na wszamanie pizzy, która notabene przez cały zjazd będzie mi leżała na żołądku ;)

Czekając na swój zjazd dopada nas trochę głupawki- nas tzn. damską część towarzystwa. Bijemy się, skaczemy, tańczymy i Ania znów śpiewa. Wszystko po to, aby chociaż przez moment nie czuć stresu związanego z finałem.

Ale co się odwlecze to.. śmigamy! Jakoś tak dziwnym trafem zaczynam się spinać, najpierw o mało co na pierwszych schodkach nie ląduję w dziurze, później z impetem wywracam się w środkowym lesie. Daję z siebie ile mogę i jestem na mecie. Człapię sobie do Pawelca dowiadując się przy okazji, że mam całkiem niezły czas (patrząc oczywiście na kobiety) i również całkiem dobre miejsce.

Uśmiechnięta czekam do końca zawodów, gdzie jeszcze wiele się dzieje- Chuziek wywraca się przed hopą, Aro daje pokaz wysokich lotów, a Joda i Śliwa uskuteczniają dożynki. Jeszcze tylko rozdanie i czas do domu. A w drodze powrotnej znów jak nie lunie..

Film z zawodów:

- video by Jakub Adamiec

Enduro Trophy

Runda 1 Bielsko Biała

Tekst: ***Piotr Starzecki***
Zdjęcia: ***Piotr Staroń*** *- staronphoto.com*

Co pcha ludzi w góry? Na to pytanie pewnie każdy z Was odpowie bez wahania. Ale co pcha ludzi w góry w mokry deszczowy weekend, na tereny objęte zagrożeniem powodziowym, gdzie każde zagłębienie zamienia się w błotnisty staw, a mokre i oślizgłe korzenie niczym pazury ukrytej bestii czyhają na nieuważnych śmiałków? Polacy to jednak odważny i troszkę szalony naród, dlatego też znalezienie stu śmiałków chętnych do masowego utaplania się w błocie nie było niczym trudnym – 22 maja w Bielsku-Białej wystartowała pierwsza w tym roku edycja Enduro Trophy, wciąż egzotycznej nieco imprezy, sprawdzającej umiejętności polskich enduraków.

O 9:00, na starcie pierwszej tegorocznej edycji stanęło około ***100 zawodników***, w tym dwie twarde jak skała przedstawicielki płci pięknej. Dżdżysto - mglisty poranek i niska temperatura nie zachęcały do jazdy, jednak potrzeba serca i towarzyska dusza zebranych Riderów wskazywały jeden kierunek – pierwszym Odcinkiem Specjalnym, pod górę, na Gaiki!

Zawody obejmowały w sumie ***pięć OSów***, poza wspomnianym, ostra rywalizacja rozgrzała zawodników na zjeździe do Lipnika, podjazdowym trawersie z Przełęczy u Panienki z powrotem na Gaiki oraz na dwóch kolejnych zjazdach – z Gaików do Straconki i z Magurki Wilkowickiej do Mikuszowic. Pełna poświęcenia walka zakończyła się około godziny 16:00 w Chacie Harnaś, gdzie po zbiorowym popasie odbyło się podsumowanie imprezy i rozdanie nagród.

Zwycięzcą klasyfikacji generalnej został **Mariusz Bryja**, który w czołówce pokonał Marcina Motykę i Michała Szade. Mariusz Bryja zwyciężył także w klasyfikacji zjazdów w której pokonał stałych bywalców podium Enduro Trophy - braci Michała i Pawła Szade. W klasyfikacji podjazdów najlepszy był wspomniany wcześniej **Marcin Motyka** sklasyfikowany przed Grzegorzem Grabowskim i znanym z poprzedniego sezonu triumfatorem zawodów w Brennej – Maciejem Piękosiem. W odrębnej klasyfikacji kobiet triumfowała **Hanna Polcyn** przed Katarzyną Piechowicz.

Wszyscy zwycięzcy zostali uhonorowani ciekawymi nagrodami – odzieżą głównego sponsora, firmy **Endura** oraz oponami firmy Continental i pucharami ufundowanymi przez gminę Bielsko-Biała. W trakcie imprezy nakręcono także materiał wideo za pomocą kamery ContourHD zasponsorowanej przez dystrybutora VholdR, firmę ***Camonboard.pl***.

Niestety, nie obyło się bez problemów technicznych. Wykonane z kryptonitu ołówki i czerpane z niemożliwium karty wyników nie wytrzymały naporu srogiej pogody i wywiesiły białą flagę. W efekcie nie udało się skompletować wyników OSów 3 i 4, zaś zawodnicy zostali sklasyfikowani na podstawie czasów z pozostałych odcinków specjalnych. Ekipa Enduro Trophy pracuje właśnie nad nowym elektronicznym systemem pomiaru czasu, który będzie gotowy na najbliższe zawody w ***Czarnej Górze 24-go Lipca***.

Organizatorzy zapraszają również na swoją stronę ***EnduroTrophy.pl***, na której przeczytacie pełną relację z zawodów, autorstwa Grzegorza „Pasieczkina" Ziaji oraz dowiecie się więcej na temat tych, wciąż nietypowych, zawodów. Najbliższa edycja Enduro Trophy za niecałe dwa miesiące na Czarnej Górze, gdzie zmierzycie się z morderczym zjazdem znanym z Pucharu Polski w DH, namoczycie ściółkę swoim potem na wymagających podjazdach, a po wszystkim będziecie się świetnie bawić na tradycyjnym afterparty. Więcej informacji już wkrótce...

castorama DOWNHILL-SZCZYRK

II MEMORIAŁ MARKA DUNATA

13 CZERWIEC 2010

Tekst: ***DownhillSzczyrk.pl***

Zdjęcia: ***Piotr Staroń - staronphoto.com***

13-go czerwca odbył się II Memoriał Marka Dunata. Impreza upamiętniająca imię wybitnego szczyrkowskiego działacza na rzecz młodzieży. W 2010r impreza nabrała większego rozmachu, a to za sprawą głównego sponsora jakim została sieć sklepów CASTORAMA pod szumną nazwą Castorama Downhill Szczyrk 2010 - II Memoriał Marka Dunata. Na górze Skrzyczne ścigali sie zawodnicy z całego kraju wliczając w to ścisłą czołówkę Polski. Do startu w zawodach zgłosiło się 150 uczestników, średnie czasy osiągane na trasie wynosiły w granicach 3.20 sek, najlepszy zaś należał do Michała Śliwy, który wykręcił czas 2:45:79 minuty.

Pierwsze przejazdy odbyły się w ciężkich warunkach pogodowych, widoczność trasy dla zawodnika była ograniczona do 4m. Natomiast przejazd finałowy obfitował dużą ilością słońca. Trasę w szczyrku można uznać za jedną z bardziej wymagających w Polsce. Jest bardzo szybka i posiada wiele technicznych odcinków, chociażby słynną morderczą ściankę. Urozmaicona w liczne hopki i sporo ostrych zakrętów, a wszytko przygotowane przez ekipę downhilizmu z agencji promocji i rozwoju sportu Arthizm przy współudziale stowarzyszenia Młodzi dla Szczyrku które dbało o porządek i bezpieczeństwo podczas trwania zawodów wraz z mobilną grupą GOPR bez której niektórzy zawodnicy nie dotarli by na metę.

Pragniemy podziękować wszystkim wspierającym drugą edycję szczyrkowskiej downhillowej ściganki: Earth Works, Northtec bike, RebelArt, Hotel Meta, Gościniec Salmopolski, Sklep Alternativ, intruz clothing, Alda, którzy ufundowali nagrody dla najlepszych zawodników. Nie zabrakło też licznych patronów medialnych tj. Antyradio, Kronika Beskidzka, 43RIDE, DH-Zone.com. HCFR.pl, Cykloza.pl, Bike Action, bb360.info, dhsanta.ownlog.com, Jakub Adamiec Films.

FOTORELACJA: II MEMORIAŁ IM. MARKA DUNATA, CASTORAMA DH SZCZYRK

FOTORELACJA: II MEMORIAŁ IM. MARKA DUNATA, CASTORAMA DH SZCZYRK

FOTORELACJA: II MEMORIAŁ IM. MARKA DUNATA, CASTORAMA DH SZCZYRK

Szczysler, Szczeribor lub po prostu Szczyrk

- arena zmagań zawodników w dniu 13 VI 2010 szykuje dla nas wiele niespodzianek...

Tekst: ***Justyna John***
Zdjęcia: ***Anna Kondrat - anski.digart.pl, Damian Jaromin***

W piątek o godzinie 4.50 nad ranem dostaję smsa od Mareczka- jedziesz sama , miałem stłukę. Zaspana, zła i w ogóle nie do życia dzwonię do Kacpra i Tywona – może poratują mnie transportem. A gdzie tam, w golfa nie zmieści się trzeci człowiek, jadę Aveo tatulka, za to za cyklozowiczami. Spotykamy się na BP w Częstochowie i ciśniemy na Szczyrk! Siewierz- pierwszy korek, Tychy- drugi korek. Tywon spaceruje koło samochodów, przy czym jest szybszy niż my w czterokołowych puszkach. Tak to droga mija całkiem miło. W każdym razie około 14 dobijamy do państwa Mysłajków na kwaterę, ogarniamy się i lecimy jeździć.

Jakież wielkie jest moje zdziwienie, gdy od wyciągowego słyszę 'pomóc zawiesić rower?'. Co się dzieje? Kultura zaczyna docierać do buszu? Nadal osłupiona docieram na górę podziwiając przy okazji piękne widoczki i zaczynam rozpoznawać elementy trasy. Wcześniej w Szczyrku byłam tylko raz, na święta wielkanocne, a więc nie znam zbyt dobrze tutejszych trasek. Przypinam się do lokalesa i staczam na dół. Polana, las, polana, las, polana, las- w skrócie tak to wygląda. Tyle że a. stromo, b. sporo małych i luźnych kamyczków c. korzonki! W sumie nawet mi się podoba, ale dla mnie ciut za szybko. Naczelny Strachulec Cyklozy boi się prędkości i o tym wiemy wszyscy.

Tak sobie jeżdżę, jeżdżę i jeżdżę, aż kończy się dzień. Zjeżdżamy jeszcze tzw. agrafką do domku, gdy po drodze mam nieprzyjemny wypadek. **Prawie przy samym końcu wyskakuje mi pod koła wiewiórka, wjeżdżam w nią i wpadam w kupę błota, z której trudno się wydostać. Ja tam pół biedy, wyglądam tylko jak świniaczek z gnojownika, gorzej z wiewiórą bo mam ją na sumieniu. Chociaż nadal żyję nadzieją, że przetrwała, tylko uciekła w krzory. Ciała w każdym razie nie znaleziono.** Na osłodę po kąpieli człapiemy do Green Pubu na przepyszne jedzonko i.. przyjeżdża Mareczek! Przywieziony przez sympatycznego Adu kwateruje się w moim pokoju, odwdzięczając mi się w nocy przeciągłym chrapaniem ;)

Zdjęcie: ***Anna Kondrat***

Zdjęcia: **Anna Kondrat**

W sobotę z rana wita nas gorąc na dworze i przepyszne śniadanko na stole. Szamiemy i lecimy na stok. Już na pierwszym zakręcie z pełną siłą uświadamiam sobie, że nie jest to mój najszczęśliwszy dzień w życiu. Najpierw owijam się na drzewie, później lecę kilka metrów w dół, w sumie po głupim uślizgu. Ziemia za szybka, czy Tina nie umie jeździć? Raczej jedno i drugie. 5 marnych zjazdów w ciągu całego dnia, rozharatana dłoń, gromadka pokaźnych siniaczków i numerek 161 na zawodach to bilans jazdy. Jakby tego było mało wybieramy się z Adolfem na żarcie, gdzie ma już czekać reszta mojej ekipy a ich nie ma, nie ma i jeszcze raz nie ma. Docierają mocno spóźnieni, Marek wyżera mi resztki obiadu, a Kacper wysuwa jakieś bezpodstawne insynuacje dotyczące.. mojego portfela znajdującego się w Markowych spodniach! Tak to my się bawić nie będziemy. O! O hamulcach możemy pogadać na przykład, ale do finansów nie wtrącać się proszę.

Próba napisania relacji na hungry4sport.com w sobotni wieczór też kończy się fiaskiem- zawiewa burzowo, błyska się, a blue connect odmówił współpracy zawieszając mi laptopika. Tak więc zbieramy się odsypiać męczący dzień.

Niedziela jakby mokrawa. **'Bez madów się nie obejdzie' – myślę sobie, po czym pierwszy zjazd treningowy robię na minionach. Babska logika, nie ma co. W sumie nie jest źle, ale jednak ciutek się zalepiają i ślizgają na nartostradzie.** Z dwojga złego wybieram wariant- ślizgający na korzeniu mad. Na takich też oponkach jadę eliminację gdzie.. staczam się w pozycji 'kura znosząca jajo'. Nie mogąc zapanować nad rowerem wywijam piękną glebę na ściance (jak ma ktoś zdjęcie, proszę o podesłanie) i z obrzydliwym czasem 5. 40 z hakiem dojeżdżam jako 2 na metę.

Z czystego lenistwa na finał nie chce mi się założyć minionów (ponoć już podeschło na polanach). Efektem tego jest rzucanie mną od prawej strony do lewej, żenujący czas 5.03 i kminienie do tej pory - jakim cudem nie wywinęłam orła w którymś miejscu.. Więcej nie ma co opisywać, bo nadal mi wstyd. Ale 2 miejsce jest. Razem z za dużymi rękawiczkami na zbyciu, kilkoma klamotami i wspaniałą kartą na 100 zł do wykorzystania na jedzenia w Gościńcu Salmopolskim. Całe szczęście chociaż żarcie było rewelacyjne ;)

Zdjęcie po prawej: ***Anna Kondrat***
Zdjęcie po lewej: ***Damian Jaromin***

Zdjęcie: **Jarek Berdak**

Joy the ride - share your joy

Tekst: **Rafał Wypiór**
Zdjęcia: **Jarek Berdak, Tomasz Krzyk**

Jest taki wierszyk Tuwima, napisany z myślą o wkraczających w dorosłe życie maluchach, w którym wylicza się zasługi różnej maści fachmanów, a to, że „murarz domy buduje, krawiec szyje ubrania”, zaś piekarz nie miałby butów, gdyby nie szewc, który z kolei bez chleba długo by nie pociągnął. Bo, drogie dziatki, musicie wiedzieć, że bez tych skromnych rzemieślników żyłoby się trudniej, o ile w ogóle dałoby się toczyć wózek zwany życiem. Nic bowiem po musklach i technice przyłożenia łapy do dyszla, jeżeli po kilku metrach wózek się rozkraczy, a nie będzie miał kto go naprawić. Na nic się zda koński uśmiech woźnicy z szerokokątną ekspozycją dwóch rzędów ponad śnieg bielszych siekaczy, jeśli fura znajduje się w opłakanym stanie, a na pit stopie nie uraczysz mechanika gotowego zrobić swoje.

Właśnie ten wierszyk chodzi mi po głowie, gdy wspominam drugą edycję Joy Ride Open, czyli Amatorskiego Pucharu Polski. Dlaczego? Bo z powodu obniżenia dolnej granicy wieku startujących w okolicach mety pojawiło się wielu takich tuwimowskich backstagemanów.

Przywieźli na zawody swoje dopiero co oderwane od cycka dzieciaki i, o ile te dzieciaki to już powoli takie małe kozaki, nie tylko stylem jazdy, ale i zachowaniem poza trasą naśladujący swoich starszych kolegów, to ich rodzice pozostali sobą - pełniącymi swoje role społeczne szacownymi obywatelami, którym nie wiedzieć skąd przytrafiła się przygoda (całe szczęście, że nie osobista) z adrenalinowym szaleństwem. A jako że szaleństwo najskuteczniej zwalczać udając, że nie ma w nim nic nienormalnego, to i oni obserwowali zmagania swoich pociech jakby to był bieg z szarfą przez przeszkody.

Może dlatego, że sam po raz pierwszy wystartowałem ze swoim 7-letnim Igorem, szybko się zalogowałem do tej rodzinnej biesiady. Trzeba jednak zaznaczyć, że pomimo sielankowej aury obok, na jednej z lepiej przygotowanych tras downhillowych w Polsce, rozgrywały się prawdziwe zawody z profesjonalnym pomiarem czasu, dyplomami i... pietruszką dla najlepszych. Były więc emocje: stres, nerwy a nawet łzy i przede wszystkim jazda po bandzie, byle tylko urwać kilka sekund. Ba, były nawet Asy, a wśród nich bezkonkurencyjny Sławek Łukasik, który wykręcił najlepszy czas.

Nie można jednak zapominać o tych, którym na dwuminutowej trasie Sławek dołożył 30 sekund albo i więcej. Bo to głównie dla nich Siara organizuje Amatorski Puchar Polski. Przy nich prosi prezentowali się jak monstery z innej bajki, na gościnnych występach. I o to właśnie chodzi. Nie sądzę, żeby ambicją organizatora było konkurować z cyklem imprez Diverse Contest, wpisujących się w rywalizację o oficjalny Puchar Polski, gdzie to elita i pozostali licencjonowani zawodnicy nadają ton. Jak głosiła moja i Igora teamowa koszulka, na Joy Ride Open Wypiór nadaje ton (czyli: Rafał DAD Wypiór-ton i Igor iGEE Wypiór-ton - Marta maRACH Wypiór-ton musi jeszcze poczekać na start, bo na 16-calowym rowerku - chodzi o rozmiar kółek - mogłaby mieć pewne problemy w stromym i rojącym się od korzeni lesie, którym wiła się w dolnej części trasa). Zresztą ton nadawał każdy, kto dobrze się bawił, zachęcany przez MC, by do wyników podchodzić z dystansem, bo najważniejsze to mieć radochę z jazdy i dzielić się tą radochą. Wszak główną stawką była dmuchana franca - replika kultowego forfitera, przyznawana największemu luzakowi imprezy.

Zdjęcia: ***Jarek Berdak***

No i udało się - decyzją jury zaszczyt karmienia gumowego aligatora czikenami przypadł Igorowi za najwcześniejszy debiut w historii polskiego downhillu.

I jak tak stałem pod podium, oklaskując najmłodszego ridera za najdłuższy, jakby nie było, przejazd, spłynęła na mnie jasność wielka (fakt, że w on czas nastały popotopowe słoty) i zrozumiałem, że u stóp góry spotkali się przedstawiciele wszystkich rodów: Lecha, Piasta Kołodzieja, Kraka i zapomnianego Nieboraka i wszyscy oni zostali zaproszeni, by w dniu pańskim wstąpić na górę i wspólne haha hihi wznosić i śmiać się jak głupi do sera. I na chwilę zapomniałem, że przybywam z polskiego piekiełka, gdzie każda inicjatywa spotyka się z oporem materii, a głównym zmartwieniem ziomala jest, żeby bliźni nie wzniósł się za wysoko, gdzie sport jest zabijany przez działaczy, a młode talenty zakopywane w ziemi, więc jak już na horyzoncie pojawi się jakiś rzutki menedżer, a tym bardziej sponsor, to witany jest jak zbawiciel. I zrozumiałem, że sponsoring zaczyna się tu - pod nazwiskiem tego, kto ci podarował pierwszy rower, a contest masz wszędzie, gdzie mierzysz czas, czy chociażby jedziesz drugiemu na kole. Po prostu: joy the ride, ale też share your joy. Czyste endorfiny, bez toksyn i frustracji. I teraz pojadę, bo złapałem flow.

Zdjęcie po prawej na dole: ***Jarek Berdak***
Pozostałe zdjęcia:
Tomasz Krzyk

I have a dream, że któregoś dnia piekarz z naprzeciwka i mechanik z przedmieścia zrzucą się na wpisowe i benzynę dla młodego zawodnika, by wystartował w kolejnej edycji Amatorskiego Pucharu Polski, a właściciel narożnej knajpki będzie miał radochę, że na racingowym jerseyu ma napisane, gdzie robą najlepsze kebaby w mieście. Zaś dla króla prędkości na mecie będzie przygotowane krzesło w stylu Ludwika z Kalwarii. I tak bez sprzedawania się za gówniane pieniądze koncernom, bez pomocy pseudodziałaczy sportowych, z pominięciem oficjalnych struktur i nieoficjalnych układów, dorobimy się zawodników, a oni dorobią się na nas. Jak u Tuwima: *„dla wspólnej korzyści i dla dobra wspólnego”*.

I pomyślałem jak bardzo nie chcę się przebudzić z tego snu, jak chciałbym, żeby ta niedziela trwała bez końca, ale dobrze wiem, przekonałem się o tym przez czterdzieści do bólu powtarzalnych lat, że po niedzieli nadejdzie poniedziałek, a po poniedziałku - poponiedziałek i tak dalej i znowu przez pół dnia będę lizał rękę, która mnie gównem karmi, żeby przez drugą połowę odreagowywać jak u Tuwima:

„Absztyfikanci Grubej Berty
I katowickie węglokopy,
I borysławskie naftowierty,
I lodzermensche, bycze chłopy.
Warszawskie bubki, żygolaki
Z szajką wytwornych pind na kupę,
Rębajły, franty, zabijaki,
Całujcie mnie wszyscy w dupę”.

Tak czy owak, dziękuję Ci - Siara, za tę niedzielę. See you later, aligator. Do zobaczenia piekarze, mechanicy, stolarze i knajpiarze - niebawem was nawiedzę, żebrząc o sponsoring dla paru utalentowanych podopiecznych, a jeśli odmówicie, zamienię wasze córki w sowy.

W tekście wykorzystano fragmenty wierszy Juliana Tuwima pt. „Wszyscy dla wszystkich” i „Całujcie mnie wszyscy w dupę”.

Zdjęcie: ***Jarek Berdak***

4XK

FOURCROSS KIEŹLINY

Tekst i zdjęcia: ***www.4xk.pl***

PUCHAR WARMII I MAZUR

Tor w pod olsztyńskich Kieźlinach jest znany niektórym uważnym fourcross's'owcom. Teraz mógł się pokazać w całej okazałości i przeprowadzić zawody z prawdziwego zdarzenia.

Na start przybyło mnóstwo miejscowych riderów, ale trafili się także zawodnicy znani z MP, czy PP oraz 2 zawodników zagranicznych. Wpadł lider Pucharu Warmii i Mazur Anton Aleshchenkow wraz z „glamournym" kolegą, który startował ubrany na różowo. Start był o 13, więc zawody spokojnie nabierały klimatu. Najlepsze było, że na starcie stanęli też chłopcy, dla których rower MTB stanowił konkretne wyzwanie gabarytowe. Najlepsze jest TO, że świetnie dawali radę! Za to kaszanę siał jak zwykle Nobel, ale on ma to w genach. Niewątpliwą zaletą tego toru jest to, walka się toczy do samego końca, a z tym jest problem, jak powszechnie wiadomo. Od początku prym wiedli uznani zawodnicy, Anton z Rosji, Tomo Ostrowski, Pączek, Dyzio,Korzeń, Kornel Co Lubi Se Poganiać Na Golasa, Karol Trzciński, Maciek Chmiel i miejscowi wymiatacze nie znani na ogólnopolskich zawodach, ale świetnie jeżdżący.

Wiadomo było, że oprócz kategorii OPEN zostanie rozegrany finał Juniorów i Mastersów. O ile Ci pierwsi walczyli jak lwy, to Ci drudzy zachowywali się jak niektórzy kandydaci na prezydenta. Na słynnym płaskim zakręcie zawinęli się jak się to powinno zrobić i jeszcze 360 stopnie dodatkowo, czym zasłużyli na brawa i śmiech publiki. Poważnych zawodników było tylko dwóch, pozostałych dwóch, gdyby ich było więcej zasługiwali by na miano „bandy idiotów".

Jeden z organizatorów, Piotr Rynkiewicz po zawodach powiedział:

„Zawody na 4XK są dla nas swoistym uwieńczeniem naszej pracy oraz sprawdzianem dla tego co robimy. Dzięki nim przestajemy być anonimowi i wreszcie możemy skonfrontować możliwości naszego toru z zawodnikami. Jako organizatorom nie wypada się chwalić wiec postaram się skromnie przytoczyć parę faktów które nas niezmiernie cieszą. Mamy wrażenie że tor w pełni spełnił swoje zadanie. Najciekawsze było to że w niemal każdym przejeździe nie było wiadomo kto dojedzie pierwszy!”

Ostatecznie pierwsze miejsce zajął Maciek Chmiel, tuż za nim dojechał nasz kumpel z ekipy Kuba Pajewski vel Pączek! Mimo paru spektakularnych gleb nikt poważnie nie ucierpiał. Tylko Tabaka na dużej chopie złamał amor i jeden ze streetowców wybił bark (po nastawieniu w szpitalu podobno wszystko z nim ok). Przejazdy czwórek były niezwykle emocjonujące nie tylko dla kumających o co chodzi ale też dla panów z wąsem i pań w garsonce. Cholernie cieszy nas fakt że na zawodach zjawili się nie tylko fourcrossowi wyjadacze ale też spora grupa streetowców którzy mimo jazdy na singlach świetnie dawali sobie radę! Zajebiście że odwiedzili nas chłopaki zza wschodniej granicy sprawiając że zawody uzyskały miano imprezy międzynarodowej. Mamy nadzieje że przyjaźń polsko-radziecka będzie kwitła i jeszcze w te wakacje uda nam się zawitać na zawodach 4X w Rosji.

To co dla nas jest niezwykle wyjątkowe i cenne to fakt zaangażowania różnych środowisk w organizację zawodów jak i istnienie samej miejscówki!

Dla przypomnienia: Ziemię, na której znajduje się tor mamy użyczoną od Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej a kasę na działanie naszego Stowarzyszenia i organizację zawodów zapewnia nam Gmina Dywity. Każdorazowo za obstawę trasy odpowiada Ochotnicza Straż Pożarna. Jedzenie zapewnia nam Kieźlińskie Stowarzyszenie Kobiet Warmińskich. Od samego początku niezwykle cenną pomoc uzyskujemy od sąsiada Leszka Nowaka.

Podziękowania należą się w szczególności dla nich oraz oczywiście dla wszystkich którzy przyczynili się i zapieprzali przy organizacji. Wielkie dzięki dla wiecznie nieokrzesanego Nobla który powinien dostać nobla za dowóz Joanitów z Górowa Iławeckiego którzy dbali o obstawę medyczną. W szczególności doceniamy fakt naszej kooperacji z chłopakami z FAN'u. Każdy kto organizował choćby najmniejsze zawody wie ile jest z tym pracy!

Wiadomo już, że tor 4XK stał się jasnym punktem na fourcross'owej mapie Polski. Czekamy na kolejne zawody, było super, może być tylko jeszcze lepiej. A kolejne zawody w ramach tego cyklu to Dual 04.07 w olsztyńskim Wąwozie.

Tekst: **Paweł Zielonka**
Zdjęcia: **Wiktor Gromniak**

flow Challenge warszewo

20-go czerwca, w dzień wyborów, w niedzielę inną od wszystkich, po raz pierwszy (i oby nie ostatni) na Warszewie zawitały tłumy kibiców wraz z garstką osób startujących w pierwszych zawodach na tamtejszej miejscówce, zwanych Flow Challenge. Nie ma sensu rozpisywać się na temat pogody, która okazała się najlepszą z możliwych czy ogromnej ilości komarów ośmiokrotnie przewyższających ilość każdego odsłoniętego centymetra kwadratowego ponętnego ludzkiego ciała.

Trasy były wyznaczone dwie, ale opcji na przejechanie ich było znacznie więcej. Pierwsza trasa zaczynała się stepupem na palety, a następnie mostkiem i wallridem, jednak większość zawodników wolała cisnąć długim dropem. Później były do wyboru 3 ścieżki. Pierwsza z nich prowadziła do wąwozu z hopą na jego końcu i lądowaniem na trawersie. Drugą opcją była pół-hopa z lądowaniem na półce, następnie delikatnym uskoczkiem i hopą zwaną „Bambi". Ostatnim sposobem na przejazd tej trasy był wielki drop, który prowadził wprost na wspomnianego wcześniej Bambiego. Druga trasa kolidując ze wszystkimi trzema opcjami pierwszego przejazdu musiała być na zmianę zamykana, w celu uniknięcia spotkania się dwóch zawodników zmierzających w innych kierunkach. Znajdowały się na niej hopa przez drogę dojazdową, opcjonalny wallride i kolejna hopa double.

Treningi odbywały się naprzemiennie na pierwszej i drugiej trasie do godziny około 12. Następnie wszyscy zawodnicy ustawili się na starcie i w kolejności zapisów zjeżdżali starając się jak najbardziej zachwycić sędziów. Przejazdy oceniali Zawo, Wojtas, Siwy i Regul. Ten ostatni był również nadwornym rozśmieszaczem dzierżącym w ręku narzędzie do wzmacniania swojego głosu, poprzez zestaw estradowych głośników Dolby Forest Digital.

Mniej więcej z momentem rozpoczęcia się eliminacji zebrała się pokaźna grupka miłośników mocnych wrażeń, chcących oglądać wyczyny dwudziestu startujących uczestników. Maciek Łazar przygotował im (a raczej zgotował bez wcześniejszego przygotowania) nie lada atrakcję, którą była poważna gleba na Bambim. Z niepotwierdzonych źródeł wynika, że Maciek ma przemieszczenie kości w łokciu i złamanie kości przedramienia :(Po ogarnięciu Maćka przez medyków został on przetransportowany do szpitala i oddany pod opiekę seksownych 60-cio letnich pielęgniarek w kusych spódniczkach z olbrzymimi dekoltami. Maciek wracaj szybko do nas!

www.43-RIDE.com

Po trzech przejazdach pierwszej trasy oraz popisach Filipka i Zawodowca na jednej z hop, zawodnicy dwukrotnie pokonywali drugą, również ocenianą trasę. Po wszystkich przejazdach punkty sędziowskie były zliczane, a zawodnicy szykowali się do konkursu best trick, który odbywał się na Bambim. Wszyscy starali się jak mogli, a nagrodę za tę konkurencję zdobył Ozzy wykręcając pięknego no-foota. Nagroda za najlepszą glebę przypadła oczywiście nieobecnemu na gratyfikacjach Maćkowi. W kwestii najlepszego przejazdu pierwsze miejsce zdobył Juras osiągając 102 na 120 możliwych punktów. Kolejny był Paweł Bogusz ze Stargardu, a trzeci Zielony. Uhonorowani nagrodami od Dakine'a, Oakley'a, KRK i Andregranda zawodnicy powoli zaczynali się pakować, a kilka odważniejszych osób zaczęło sprzątać trasę z nieczystości i innych badziewi.

Cały **MDFR zaprasza na jam, który odbędzie się w Modern FR Bikeparku 24-go Lipca 2010 roku.**

Więcej informacji na ***modernfr.blogspot.com***. To nasz blog, w którym znajdziecie wszystkie informacje o nas i o tym czym się obecnie zajmujemy :)

Co się dzieje?

Czyli o kibicach słów kilka...

Tekst: ***Kinga Kęska***
Zdjęcia: ***Tomasz Profic***

Świat niedawno ogarnęła fala rozemocjonowanych (tele)widzów śledzących z zapartym tchem trwające właśnie Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w RPA. Szczęściarze na żywo, reszta ogląda w pubach lub zwyczajnie na kanapie w domu. Tak naprawdę nieważne gdzie i jak, ważne, że wszystkich tych ludzi łączy jedno – wspólne kibicowanie! Sport bez kibiców chyba by nie mógł istnieć, to oni często skutecznie dopingują i wspierają zawodników a tak całkiem na marginesie czasem wręcz utrudniają rywalizacje - przerywając mecze – bójką czy wchodzeniem na trasy zawodów.

Czym jest agresja? - potoczne znaczenie wszyscy (chyba) znamy, słownikowe mówi, iż jest to zachowanie, które skierowane jest przeciwko przedmiotom/ludziom, wywołującym gniew bądź niezadowolenie, często przybierające formę ataku. W związku z rosnącą agresją już nie tylko u sportowców, ale głównie wśród kibiców, wielu badaczy zaczęło poszukiwać odpowiedzi skąd agresywne wybryki przed, po i w czasie zawodów. Powody jak zwykle są różne. Oglądając zawody sportowe pan Józek może doznać swoistego katharsis (czyli oczyszczenia) i ,, wypuścić parę" w anonimowej masie, może dać upust emocjom, bowiem odpowiedzialność w tłumie jest rozproszona. Z kolei jakże mu - Franek zezłości się na sędziów, że są nieudolni, kolegę obok zdenerwuje ,,zachowanie" kibiców drużyny przeciwnej i problem gotowy. Skąd te negatywne reakcje u ludzi?

Tak naprawdę wszystko zależy od kilku czynników, jednym z najważniejszych wydaje się popularność danej dyscypliny sportu, ważność dla kibica oraz jaka jest widowiskowość danej dyscypliny, czy ilość ,,fanów" oglądających. Tak się składa, że nie tylko w piłce nożnej jest tak, iż coraz większa agresja w sporcie związana z łamaniem zasad walki sportowej ma swoje przyczyny w fakcie, że wygraną nie jest wieniec laurowy - jak w czasach starożytnych, ale duże sumy pieniędzy, wartościowe nagrody (cóż może w kolarstwie jak to mówię ,,Naszym" nagrody nie są złożone z jedynki i chociażby pięciu zer, ale emocje są nie mniejsze, niż na mistrzostwach).

A więc rola pieniądza pnie się do góry, duży nacisk kładziony jest na sukces, zmiany można spostrzec w przekazach chociażby obecnych MŚ, gdzie wzrasta ich sensacyjność oraz widowiskowość; i na końcu naszej agresji w sporcie plasuje się, również z tendencją zwyżkową - agresja kibiców.

Przykłady, przykłady...

...znowu z piłki nożnej, w roku 1964 w czasie zamieszek na stadionie w Limie (Peru) ginie 350 osób, 1985 roku w Brukseli, przed rozpoczęciem meczu ,Juventus - Liverpool kibice włoscy zostają zaatakowani przez kibiców angielskich, zawala się trybuna i mamy bilans 35 ofiar, w 1993 roku po zwycięstwie Kolumbii nad Argentyną, (w państwie, które wygrało) zostaje zablokowany ruch (oczywiście przez kibiców tym razem pijanych), w wyniku świętowania i wiwatowania oraz zabaw ulicznych, giną 154 osoby a 1000 jest rannych. Nie tylko na świecie, ale i w Polsce coraz częściej odnotowuje się, wzrost ,,wybryków" wśród kibiców; standardowo są to już: bójki stadionowe, dewastacje autobusów, pociągów .

Ciekawym pojęciem w sporcie stało się pojęcie terroryzmu w klasycznej postaci – eliminacja niewygodnego konkurenta. Monice Seles jugosłowiańskiej tenisistce, niemiecki kibic w czasie przerwy z jej największą rywalką Steffi Graf - zadał cios nożem. Tłumacząc się później z owego czynu stwierdził, że była to pomoc dla Steffi w powrocie do czołówki światowego peletonu (de facto tak się też stało, Graf odnosiły liczne sukcesy a Seles już nigdy nie doszła do formy sprzed ataku). Kibic-napastnik dostał wyrok, owszem, dwa lata, co raczej komentowano było jako zachętę dla innych niż karę i przestrogę. Inny przykład - zamordowania piłkarza Escorbana na Mistrzostwach Świata w USA, którego jedynym przewinieniem był gol, tyle że do własnej bramki.

Uwaga! Jedynym objawem agresji kibiców (której się doszukałam) w kolarstwie okazała się notatka o mężczyźnie, który rzucił się pod koła, jednego z uczestników Bike Maratonu, nikomu nic się nie stało, przyczyn jakimi ów kibic się kierował nie znamy do dzisiaj.

Obecnie, w związku z licznymi incydentami kładzie się duży nacisk na bezpieczeństwo uczestników/sportowców zwłaszcza tych wyższych rangą rozgrywek – Igrzysk Olimpijskich, Mistrzostw Świata, co pozwala mieć nadzieję, że mecz finałowy, który odbędzie się, 11 lipca zamknie mistrzostwa bez większych ekscesów. Dla wszystkich kibiców każdej odmiany kolarstwa, ślemy zaś podziękowania, za ,, czyste dopingowanie" startujących zawodników i dobrą atmosferę :)

43RIDE testuje:

KRK First

kask orzech

Tekst/test: ***Olek Bulski***
Zdjęcia: ***Damian Kolaciński***

Jakiś czas temu otrzymałem propozycję przetestowania nowego wypustu białostockiej firmy specjalizującej się w produkcji ubrań ochronnych. First, gdyż tak nazwany został kask na 2010 rok, przykuł moją uwagę już przy przeglądaniu e-katalogu firmy, więc gdy dostałem możliwość pojeżdżenia w nim nie wahałem się ani chwili. Kask niczym nie przypomina poprzedniego produktu z oferty KRK, Inkuba. Tym razem zastosowano standardowe rozwiązania. Zmienił się kształt. Zniknęła miękka wyściółka EVA, zastąpił ją klasyczny pochłaniający uderzenia materiał EPS.

Zacznijmy może od strony wizualnej, kask prezentuje się naprawde ładnie, kształt klasycznego orzeszka, minimalistyczna nie uderzająca w oczy grafika przedstawiająca. Logo i nazwę firmy Szeroki wybór kolorów, więc większość zainteresowanych na pewno znajdzie coś dla siebie. Jedyny drobny mankament dotyczący kształtu to nadmiar pianki ochraniającej kość potyliczną. Powoduje to dość dziwne wrażenie estetyczne, ale jest to cena jaką trzeba zapłacić za lepszą ochronę głowy.

Kolejną rzeczą jest dopasowanie kasku do wielkości głowy. KRK wykorzystuje rzadko spotykany dotąd w orzechach patent płynnej regulacji rozmiaru. Mechanizm jest prosty w związku z czym trudno o zepsucie go. Drobne problemy może sprawiać dokładne ustawienie wielkości, gdy to jednak zrobimy trzyma się on naprawde dobrze. Kolejną zaletą jest niska waga oraz bardzo dobra wentylacja głowy. Oba te czynniki w znacznym stopniu wpływają na komfort jazdy, który w przypadku Firsta jest bardzo wysoki.

Kask testowany był na step upie w Piasecznie przy torach oraz na większości z nas chyba znanej warszawskiej Kazoorze, mimo wielu upadków zarówno niegroźnych jak i kilku solidnych dzwonów ani ja ani kask nie odnieśliśmy żadnych obrażeń, jedynie kilka niewidocznych obtarć i obić na lakierze.

Podsumowując, omawiany produkt jest niewątpliwie godną uwagi pozycją na rynku protektorów. Przy wszystkich jego zaletach, bardzo dobrym stosunku cena/jakość moim zdaniem znajduje się w ścisłej czołówce s kasków oferowanych w naszym kraju. Dodatkowym argumentem przemawiającym za jego kupnem jest wspieranie rodzimej marki która już od bardzo dawna ma spory wkład w rozwój sportów ekstremalnych w naszym kraju.

KRK First 2010:
- skorupa z ABS
- wnętrze z EPS
- system płynnej regulacji w zakresie 52-62 cm
- 14 otworów wentylacyjnych
- kask spełnia normę bezpieczeństwa CE 1078

Dystrybutor: ***krkochrona.com***

43RIDE testuje:

KRK Skull

ochraniacze na łokcie

Test i zdjęcia: ***Łukasz Koper***

Nowy sezon, to przeważnie nowe części do naszego rowerka, ale nie tylko jego należy zaopatrzyć w najlepszy sprzęt. Trzeba zadbać także o samych siebie. Firmy KRK chyba nie trzeba nikomu przedstawiać. Wiemy doskonale, że najlepsi riderzy już nie tylko w Polsce, ale i na świecie używają ochraniaczy KRK.

Przejdźmy jednak do testu zupełnie nowych ochraniaczy na łokcie (bez plastiku) o nazwie SKULL. Ochronki te wprost idealnie nadają się do jazdy na dircie. Są naprawdę świetnie wykonane, w żaden sposób nie ograniczają ruchów i co najważniejsze, nie zsuwają się przy upadkach. Nie ukrywam, że na początku testu podszedłem dość sceptycznie do braku plastiku, ale po miesiącu użytkowania moje łokcie są nadal w dobrym stanie, więc neopren i 10 mm pianka EVA zdecydowanie nadają się do katowania sztuczek na step-upach, dircie oraz jeździe w skateparku.

Ochraniacze są dość zauważalne ze względu na białą czachę, która jest elementem grafiki KRK i to chyba jedyna wada tych ochraniaczy dla tych co woleliby tylko czarną opaskę na łokciu. Za to mają dużo więcej zalet: są one stosunkowo tanie (59pln), dostępne w 2 rozmiarach L i M, no i „new school look", czyli ochraniacze typu slim :) Zdecydowanie polecam!

Dystrybutor: ***krkochrona.com***

43RIDE testuje:

KRK Whip

ochraniacze na kostki

Test i zdjęcia: ***Łukasz Koper***

Kolejnym nowym produktem od firmy KRK są ochraniacze na kostki o nazwie WHIP.

Nazwa idealnie pasuje do ich przeznaczenia ponieważ służą do ochrony naszych kostek przy kopaniu i łapaniu tailwhipa. Doskonale znam ból związany z uderzeniem się o pedał, korby lub nawet ośkę przy łapaniu taila, więc wiem, że ochraniacz w tym miejscu bardzo się przydaje. Ochraniacz spełnia swoją rolę bardzo dobrze, ale niestety jest tylko ochraniaczem, a nie usztywniaczem stawu skokowego. Na szczęście spokojnie można zakładać go na zabandażowaną nogę (w celu usztywnienia) nie ograniczając ruchów stopy i zmieścić nogę bez problemu do buta. Podobnie jak w ochraniaczach Skull naszą nogę chroni 10 mm warstwa pianki EVA, a wszystko trzyma się na dobrze dopasowanym rzepie, który na bank nie sprawi, że po godzinie jazdy nie będziemy mieli czucia w nodze, bo np. za mocno związaliśmy jakiś konkurencyjny ochraniacz / usztywniacz ;)

Podsumowując, ochraniacze KRK Whip idealnie nadają się dla streetowców i dirtowców, którzy uczą się tailwhipa, ale i dla tych, którzy boją się o swoje kostki lub mają złe doświadczenia z obitymi nogami. Za jego jedyną wadę mogę uznać tylko to, ze jest jedynie ochraniaczem, a nie usztywniaczem... Z kolei niska cena (49pln) i uniwersalny rozmiar biją konkurentów na głowę!

Dystrybutor: ***krkochrona.com***

43RIDE testuje:

Klocki UNEX

odsłona druga

Test i zdjęcia: ***Tomasz Profic***

Tuż przed zamknięciem poprzedniego numeru dotarły do nas klocki hamulcowe firmy UNEX. Komplecik był przeznaczony do hamulców Formula Oro K18. Typ klocków to pół-metaliczne z thermo-dissipator'em. Cóż to jest? Otóż jest to specjalna domieszka kompozytów ceramicznych, która ma sprawiać, że klocki lepiej odprowadzają ciepło.

Charakterystyka hamulców Formula Oro K18 jest taka, że w momencie gdy klocki się zużywają, to bardzo czuć to na klamce. Daje tu o sobie znać absolutny brak regulacji modulacji i dzięki temu im bardziej zużyte mamy klocki, tym klamka zapada się mocniej i w efekcie trzeba włożyć więcej wysiłku w to, aby się zatrzymać. Po trzech miesiącach intensywnych testów mogę w końcu coś o nich powiedzieć i bynajmniej nie tylko to, że hamują ;)

Tuż po założeniu nowych klocków przyzwyczajeni jesteśmy do żmudnego docierania... nie tutaj! Hamulec łapie z pełną mocą od samego początku i bez żadnego docierania. Niestety taka charakterystyka bardzo odbija się na żywotności produktu. Jednak musimy wybrać, albo wsadzamy twarde i słabe klocki, albo mocne, ale miękkie. Klocki UNEX raczej należą do tej drugiej grupy, ponieważ w okresie testowym poczułem już sporą różnicę w zużyciu klocków zarówno na przednim jak i na tylnym hamulcu. Te z tyłu wyglądają nawet na bardziej zmęczone, ale to może dlatego, że częściej jednak używam tylnego spowalniacza. Czy klocki lepiej odprowadzają ciepło? W porównaniu do produktów innych firm, z którymi miałem okazję "razem jeździć", wydaje mi się, że ta różnica jest odczuwalna. Przy bardzo gorących tarczach (160mm na góry, to troszkę za mało) hamulce wciąż mnie zatrzymywały, więc ten test także wypadł pozytywnie...

Podsumowując, klocki UNEX to bardzo dobry wybór dla osób, które potrzebują niezawodne klocki, które łapią od razu i zdają sobie sprawę, że za cenę siły, będzie trzeba je częściej wymieniać. Można powiedzieć, że taki komplecik jest idealny na zawody, zakładasz i jedziesz po jak najlepszy rezultat.

Dystrybutor: ***vincere.pl***

43RIDE testuje:

Kierownica Answer ProTaper 780 DH + mostek Answer DH direct mount + chwyty Answer Fall Line DH

Tekst: **Grzegorz Łoza**
Zdjęcia: **Beata Lipińska-Łoza**

W ostatnim numerze dokładnie pomierzyliśmy, zważyliśmy i pooglądaliśmy komponenty firmy Answer, które otrzymaliśmy od Velo. Po kilku dniach w końcu przyszedł czas, aby spróbować zamontować sprzęt i przez kilka miesięcy testować go, aby móc podzielić się z wami zdobytą praktyczną wiedzą o całym zestawie.

Montaż: o montażu napiszę krótko - bajecznie prosty. Chyba każdy wie jak się montuje chwyty, kierownicę czy mostek, ale mostek, pamiętajcie! Dokręcajcie śruby z siłą podaną przez producenta - nie na oko ;)

Regulacja: Tu warto wspomnieć o mostku... 45, 50, 55 mm – każdy spokojnie dopasuje długość pod swoje preferencje! Długa kierownica 780 mm – można skrócić pod swój styl – nasza testowa kierownica została w oryginalnej długości – zamontowane > tak > to jazda!

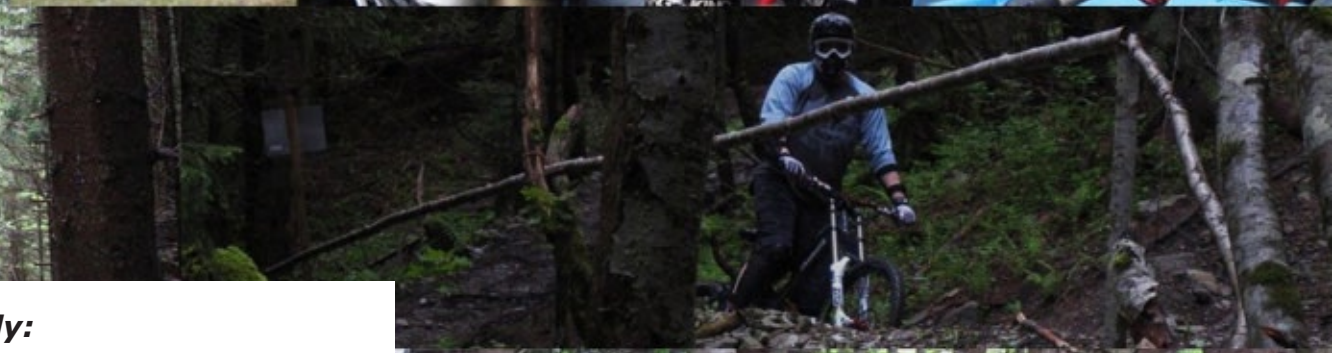

Wrażenia z jazdy:

Kierownica - pierwsze wrażenie to... jaka szeroka ;O Po pierwszym razie kierownica odwdzięcza się, jest sztywna, szerokość... bardzo łatwo ją zaakceptować, należy też wspomnieć o kątach – dla mnie idealne!

Mostek - szerszy niż konkurencja, w zestawieniu z kierownicą całość uzyskuje naprawdę dużą sztywność.

Chwyty - dobrze i pewnie utrzymują ręce, w końcu robią to w fabryce, gdzie dla Answera robi to ODI, czy też Answer robi to dla ODI – już mi się to pomieszało... w każdym bądź razie - najwyższa półka!

Podsumowanie:

Cały kokpit Answera pozwala precyzyjnie i pewnie pokonać trasę, a najważniejszym atutem jest sztywność! Ze spokojnym sumieniem polecam taki zestaw, który miałem okazję przetestować :)

Dystrybutor: ***velo.com.pl***

KASK 43RIDE testuje: MET KAOS

Tekst: Jędrek Cegielski - emtb.pl
Zdjęcia: Michał Jurewicz - emtb.pl

Ten kask nie ma łatwego „żywotu”. Codziennie odpiera ataki rzeczywistości na moją głowę. Pokonuję w nim codzienną droge do i ze szkoły, zakładam jeżdżąc na „szosie” oraz na mniej intensywne wypady enduro.

Podobnie jak w przypadku modelu Parachute, na początku patrzyłem na niego niezbyt przychylnie... aż do momentu, gdy założyłem na głowę mój prywatny kask Giro E2. Wtedy poczułem jak bardzo Giro jest w tyle jeśli chodzi o wentylację (jest to moje subiektywne odczucie). Jeśli chodzi o wygodę, to Met Kaos spełnia najwyższe wymogi komfortu. Nigdzie nie uciskające gąbki oraz bardzo dobre paski mocujące. Trudno się zresztą dziwić skoro jest to najwyższy model kasku Met. Daszek - w przeciwieństwie do modelu Parachute zupełnie mi nie przeszkadza, mógłby mieć tylko regulację wysokości. Daszek tworzy dobrą całość z kaskiem i dodaje mu dynamiki.

Czy po wielu godzinach jazd kupiłbym sobie taki kask dla siebie? Zdecydowanie tak! jestem nawet gotów sprzedać swojego pięknego E2, aby nabyć Kaosa, żal mi będzie się z nim rozstawać...

Podsumowanie:
+ niska waga
+ wentylacja
+ wszechstronność
+ ergonomia
+ ochrona

- niezauważone ;)

Dystrybutor: ***velo.com.pl***

43RIDE testuje:

KASK MET PARACHUTE

Tekst: **Jędrek Cegielski** - emtb.pl
Zdjęcia: **Michał Jurewicz** - emtb.pl

Zjeżdżałem naprawdę szybko, goniłem stracone sekundy na dwóch poprzednich OS'ach. Głowa pozbawiona jakichkolwiek myśli, teraz liczy się tylko to, co jest pod kołami... prędkość rośnie aż do chwili, z której przypominam sobie jedynie myśl *„Noooo to koniec sezoooooooo”,* a zaraz potem słyszałem jak moja garda od testowanego Met'a Parachute ryje grunt.... i wydaje przy tym dźwięki zrywanego asfaltu. Z ust wypluwam mokrą ściółkę z resztkami zdartych opon.... zęby całe, twarz nie krwawi, czyli można jechać dalej :)

To tylko jedna z wielu spektakularnych gleb, które zaliczyłem w ostatnim czasie.

Nigdy nie miałem przekonania, do lekkich zintegrowanych kasków, ale przez ostatnie cztery miesiące moje zdanie diametralnie się zmieniło. Met Parachute zaskoczył mnie swoją funkcjonalnością i szybkością demontażu szczęki. Bezcenne okazało się kiedy musiał zostać on wpakowany do małej torby kiedy wracał samolotem z Warszawy. Chwila moment i z wielkiego kasku robi się mały pakowny orzeszek (po odkręceniu szczęki).

Na zjazdach daje mi dużo większe poczucie pewności siebie i bezpieczeństwa. Radość z jazdy rośnie, wraz z prędkością... Wentylacja w porównaniu do pełnoprawnych kasków typu fullface, w których miałem okazję jeździć stoi na wysokim poziomie. Wciąż czuć wiatr we włosach, a uszy wypełnia szum i huk bijącej o ramę przerzutki... Krótkie podjazdy nie stanowią problemu, jednak na długich kilkunastokilometrowych podjazdach i tak zdejmuję kask w pełnej wersji FF. Wielką zaletą kasku jest możliwość zdemontowania dolnej szczęki, a gdy to zrobimy otrzymujemy rasowy kask, w którym możemy jeździć wszędzie (miasto, las, trekking, szosa itd.). Wybierając się na ostrzejszą jazdę przykręcamy szczękę i mamy z powrotem kask fullface. Rzeczą, do której doczepiłem się na samym początki był i jest daszek, który mi przeszkadza. Zdemontowałem, go na samym początku i jeżdżę bez niego. To takie moje subiektywne rozwiązanie ponieważ bardzo się z nim polubiłem:)

Przed nami najbardziej intensywna część sezonu i szczerze mówiąc mam nadzieję, że jeszcze bardziej bogata w przygody i doświadczenia. Mam nadzieję, że Met Parachute wytrzyma do końca sezonu, a ja wraz z nim :)

Podsumowanie:
+ niska waga
+ funkcjonalnośc (2 w 1)
+ ochrona
+ ergonomia
+ wentylacja

- daszek

Dystrybutor: ***velo.com.pl***

Old Stuff

Girvin Vector 3

1996

Tekst i zdjęcia: ***Jan Kielman***

Historia amortyzatorów Vector sięga 1993 roku, kiedy to znana wówczas marka Pro-Flex, zaprezentowała swój najnowszy rower o nazwie 953. W przeciwieństwie do poprzednich modeli tej firmy, 953 został wyposażony w absolutną nowość Pro-Flex'a – aluminiowy, pantografowy amortyzator noszący nazwę Girvin Vector. W pierwotnej wersji miał on około 50mm skoku oraz wyposażony był w elastomerowy damper tłumiący niewielkie nierówności podłoża. Mimo to, na tle pozostałych amortyzatorów dostępnych na rynku w pierwszej połowie lat 90-tych – Vector wyróżniał się unikalną, na owe lata, kulturą pracy. Powodem tego była pantografowa konstrukcja widelca, która w przeciwieństwie do ówczesnych amortyzatorów teleskopowych, zapewniała zupełnie inną charakterystykę skoku przedniego koła.

Amortyzator Girvin'a, zamiast pracować równolegle do główki ramy (jak w przypadku widelców teleskopowych), przesuwał przednie koło również do tyłu, dzięki czemu znacznie płynniej pokonywał przeszkody na trasie. A to najprawdopodobniej stało się przyczyną szybkiego sukcesu Girvina na światowym rynku. Niedługo po premierze Vectora 1, Pro-Flex przygotował drugą generację tego amortyzatora, a w 1995 roku – trzecią, najbardziej zaawansowaną, czyli Vector 3 - obiekt tego testu.

Niniejszy egzemplarz pochodzi z roku 1996 i jest to najwyższy model z oferty amortyzatorów Girvin. Wyposażony w sprężynowy damper z olejowym tłumikiem uzyskuje on w sumie nieco ponad 80mm skoku.

Zamontowanie odpowiedniej sprężyny określa twardość amortyzatora, a regulacja naprężenia wstępnego i szybkości powrotu (rebound) pozwala ustawić jego pracę zgodnie z własnymi preferencjami. Dodatkowo - zmieniając odległość pomiędzy 'półkami' Vectora (na przykład dodając jedną, czy dwie podkładki dystansowe na rurę sterową) można wpłynąć na charakterystykę pracy widelca. Modyfikuje to krzywą ugięcia, co w praktyce działa w podobny sposób do regulacji kąta główki we współczesnych ramach. Niewątpliwie najbardziej przyciągającym wzrok elementem są błyszczące, karbonowe lagi Girvina, dzięki którym jego waga, pomimo sporych rozmiarów całej konstrukcji, nie przekracza 1,7 kg.

Po zamontowaniu Vectora w rowerze – pierwsze wrażenie nie należało do rewelacyjnych. Uginając amortyzator na asfalcie, sprawiał wrażenie topornego i bardzo nieczułego na nierówności. Do tego – charakterystyka ugięcia powodowała dziwne wrażenie jazdy na rowerze z kątem główki rzędu ~45°. Dopiero po zjechaniu z asfaltu i wjechaniu do lasu przekonałem się jak to działa. A działało znacznie lepiej niż się spodziewałem - pomimo niedużego skoku, Vector bardzo ładnie łykał wszelkie korzenie na ścieżce.

Niewątpliwie do tego właśnie został stworzony i radził sobie z tym zaskakująco dobrze. Po kilku, niezbyt udolnie, pokonanych zakrętach udało mi się opanować prowadzenie roweru z tak nietypowym amortyzatorem, a po kilku kolejnych – nawet to polubiłem.

Girvin Vector 3 może nie dorównuje kulturą pracy współczesnym amortyzatorom, ale za swoich czasów musiał być naprawdę fajną (aczkolwiek i bardzo kosztowną) zabawką. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak wymontować go z roweru, dokładnie oczyścić i odstawić z powrotem na półkę. Spędzając na niej kolejne lata zacznie nabierać wartości muzealnej, gdyż z pewnością jest to jeden z najważniejszych amortyzatorów w historii MTB.

DANE TECHNICZNE

Medium ściskane: Sprężyna z regulacją naprężenia wstępnego,
Tłumienie: Olejowe z regulacją odbicia.,
Długość dampera: 190 mm,
Skok: 83 mm,
Masa: 1694 g.

Zapraszamy na
facebook.com/43RIDE

facebook

43RIDE
magazyn rowerowy

Zdjęcie: ***Michał Niewdana***
Rider: ***Krzysztof „Generał" Kuś***

Wydawca / Redakcja 43RIDE:

Magazyn PDF 43RIDE jest częścią strony ***43RIDE.com***
- red. naczelny **Zbigniew Nowicki** *zbig@43ride.com*
- **Tomasz Profic** *tomasz@43ride.com*
- **Justyna John** *tina@43ride.com*

Kontakt: gadu-gadu: **9579049**, tel. **+48 793 445 524**, fax. **(0-22) 702 17 19**.

Współpraca:

- **Adam Delikat**
- **Agnieszka Zalewska**
- **Anna Kondrat** anski.digart.pl
- **Bartek Woliński** wolisphoto.com
- **Beata Lipińska-Łoza**
- **Damian Kolaciński**
- **Grzegorz Łoza**
- **Igor Kępiński**
- **Jakub Kocjan** krissys.pinkbike.com
- **Jan Kielman**
- **Jędrek Cegielski** emtb.pl
- **Jarek Berdak**
- **Joanna Bech**
- **Kinga Kęska**
- **Kuba Obuch**
- **Łukasz Koper**
- **Łukasz Łosoń**
- **Marcin Wróbel** wroobel.iportfolio.pl
- **Mateusz Grochal** bike-camp.pl
- **Mateusz Woliński**
- **Michał Chodkowski** gravitycamp.pl
- **Michał Jurewicz** emtb.pl
- **Michał Niewdana**
- **Olek Bulski**
- **Oskar Wilk**
- **Paweł Zielonka**
- **Piotr Bożek**
- **Piotr Jarocki**
- **Piotr Poręba** baz.fotolog.pl
- **Piotr Starzecki**
- **Piotr Staroń** staronphoto.com
- **Rafał Bzdak** roofio26@gmail.com
- **Rafał Wypiór**
- **Szymon Nieborak** delayedpleasure.com
- **Tomasz Krzyk**
- **Tomasz Rakoczy** tommysuperstar.com
- **Wiktor Gromniak**

International co-operation:

- **David Ulrich** rasoulution.com
- **Rasolution** rasoulution.com

Przedruk i wykorzystanie w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej zgody redakcji 43RIDE są zabronione. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów. Za treść publikowanych ogłoszeń redakcja nie odpowiada. 43RIDE nie stanowi oferty w rozumieniu prawa i jest publikowane jedynie do celów informacyjnych. 43RIDE jest darmowym magazynem dostępnym do pobrania w formacie PDF ze strony ***www.43ride.com***